
AS
Nr. 31

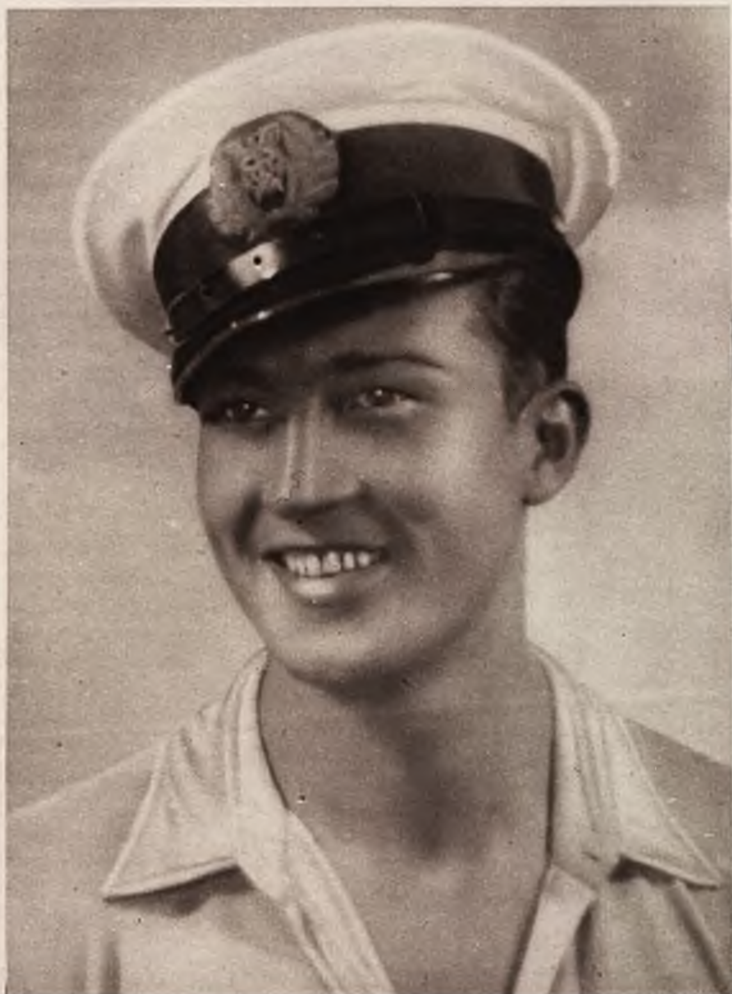
NASZ WIELKI KONKURS

NA

NAJPIĘKNIEJSZY UŚMIECH.

W królestwie uśmiechów można dostrzec pewne zdenerwowanie, przecież zbliża się powoli, krok za krokiem, dzień za dniem „historyczna data“, pod którą zapadnie sąd Parysa! Wprawdzie nagrodą nie będzie złote jabłko, gdyż żyjemy w czasach, kiedy złota poza... złotem sercem ludzkiem nie można zobaczyć ani na lekarstwo, lecz mimo to Czytelnicy nasi z pełnym optymizmem wyczekują zwycięstwa.

Stare przysłowie „śmieje się najlepiej, kto się śmieje ostatni“ znajdzie w naszym konkursie pełne uzasadnienie, to też z ciągle przybywających nowych uśmiechów podajemy w tym numerze nową serję, odznaczającą się nietylko pięknym, ale też zwycięskim wyrazem. — A więc, kto chce wziąć udział w przygotowującej się „walce wyborczej“ niech zwróci uwagę na kupon, znajdujący się na stronie 26.



Na lewo: Jerzy Olgierd, Warszawa.



Zofja Szajdzińska – Lwów.







Na lewo: „Lublinianin“.

Na prawo: „Oleńka“ — Beskidy Śląskie.

„Anna“ ze Sniatynia.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ.
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66.
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

Numer 31 **Niedziela 29 września 1935** **Rok I**

ASY NUMERU 31-GO:



Sytuacja polityczna, jaka się wytworzyła w Europie, a w szczególności na wybrzeżach Morza Śródziemnego na skutek stanowiska Mussoliniego, zmusza przedewszystkiem państwo włoskie do podwojenia akcji, zmierzającej do jaknajszybszego zmilitaryzowania całego społeczeństwa. Wyrazem tego są wzmożone prace wszystkich organizacyj faszystowskich, wśród których może najpoważniejszą rolę odgrywa „Balilla", związek młodzieży nowych Włoch. Na zdjęciu widzimy ćwiczenia morskiego oddziału tego związku, t. zw. Marinetti na podwórzu szkoły marynarskiej „Caio Duilio" nad Tybrem.



Z kronik krakowskich „komercjantów"



CHARLIE

Na rynku krakowskim ruch ogromny; wojsko z trudem tylko trzyma szpaler, odpycha natrętną gawiedź, chcącą lepiej widzieć historyczne chwile, po wyboistych kamieniach kolebią się wolno i dostojnie karety pozłociste, za któremi wyprężeni i pełni gotowości trzymają się nadworni pajucy. Wśród rozentuzjazmowanego tłumu, wznoszącego raz poraz okrzyki na cześć króla Jegomości, z trudem toruje sobie drogę kareta królewska. Wkońcu staje, a adjutanci królewscy, dygnitarze miejscowi i panowie z dworu otaczają wysiadającego z niej monarchę. U progu domu pod nr. 10 Stanisława Augusta wita pan Wincenty Laśkiewicz, bogaty kupiec krakowski, bankier i ławnik miasta, który wnet króla prowadzi na zwiedzenie piwnic i by poczęstować go najlepszem winem. Król jak zwykle łaskawy, dobrotliwie się uśmiecha, dopytuje o rodzinę, zdrowie, powodzenie w interesach. Pod gotyckiemi sklepieniami, przy świetle pochodni dymiących i palących się czerwonym ogniem wszystko nabiera jakiegoś nadwyraz uroczystego, tajemniczego wyglądu, a cień obecnych tańczy po ścianach. Współcześni zanotowali jednak przykry „lapsus linguae" imć pana Laśkiewicza, który popsuł nieco królewską wizytę. Król kosztuje węgrzyna, chwali go i dopytuje się o jego proweniencję. Gospodarz, uszczęśliwiony łaską królewską, ale nie wyzbywając się nigdy „komercjonalnego" tonu rozmowy rzecze:

— Znalazłoby się i lepsze, Najjaśniejszy Panie!

— To Wasan schowaj je dla lepszego gościa! — odcina król, zdziwiony i ubawiony zarazem tem powiedzeniem, konfondując niefortunnego gospodarza.

Ta wizyta królewska u kupców krakowskich na schyłku XVIII wieku to ostatni promyk jaśniejszy na czarnym horyzoncie ich życia.

Dawno czasy bogactwa Wierzynków, Morsztynów, Bochnarów i Montelupich należały do przeszłości. Patrycjat krakowski, który kiedyś mógł śmiało iść w zawody co do zamożności z Bremą, Lubeką, Frankfurtem, Genuą czy Amsterdamem, obywał się teraz tylko małemi dochodami. Przecież i cała Rzeczpospolita przechodziła marazm chorobliwy, z którego ją wyrywały raz po raz coraz cięższe terminy dziejowe. Jedyne miasto, które w XVIII wieku jeszcze utrzymywało się na pewnym poziomie, to stolica — Warszawa. Kraków skurczył się w sobie, z dużego miasta zmalał do mieściny prowincjonalnej, która w r. 1792 miała już tylko 5300 mieszkańców, gdy w latach 1777—1787 liczyła ich jeszcze koło 9 tys. Po przysiędze Kościuszki na rynku krakowskim, po Racławicach przyszły Szczekociny i upadek wszelkich nadziei.



Paris Maurizio, portretowany przez Jana Matejkę jest charakterystycznym typem poważnego i zamożnego patrycjusza krakowskiego w początku XIX wieku.

Ale żyć trzeba było mimo wszystko. Kupiectwo krakowskie starało się przezwyciężyć trudności jak mogło i gdzie mogło. Ale nie było to już to samo mieszczaństwo dawnych lat. Nazwiska stare i godne zniknęły, wielkie domy handlowe gdzieś poszły w rozsypkę, przyszły czasy na nowych, chociaż i pośród nich jeszcze znaleźć było można dawnych patrycjuszy. Ciekawy to, choć mały światek, zamknięty w sobie hermetycznie, pilnujący zazdrośnie swych przywilejów i stanu posiadania, choć ciągle się odświeżający nabytkami



Widok na ulicę Florjańską, która była i jest jedną z najbardziej ożywionych arteryj handlowych Krakowa.

zzewnątrz, spokrewniony ze sobą jak jedna wielka rodzina. Niektórzy z nich porzucą wkrótce łokieć kupiecki i nabędą majątki ziemskie, a otrzymawszy szlachectwo polskie czy austrjackie zleją się z ziemiaństwem, inni znów wyrzekną się również handlu, aby odegrać rolę w służbie państwowej, w świecie uniwersyteckiem, w nauce.

Wielkiem bogactwem zwracają w końcu XVIII wieku uwagę Laśkiewicze. Siedzibą ich rodzinną jest dom „Pod karpiem" na Rynku pod nr. 10 i kamienica zwana zwana „szmidowską" na Florjańskiej. Pan Franciszek słynie z majątku, prowadzi interesy aż do Brodów, gdzie dokończył ży-

wota 1778 r., uzyskawszy poprzednio austrjackie szlachectwo z przydomkiem „von Friedensfeld". Synowie jego Wincenty, niefortunny gospodarz Stanisława Augusta i Ignacy prowadzą dalej handel ojca i dochodzą do dużego majątku. Kupują dom na Rynku pod nr. 26 za 47.000 złp., posiadają sklep w Sukiennicach, dworek na ul. Kopernika i dobra Święcica w sandomierskim. Dobrzy patrjoci — dopomagają insurekcji kościuszkowskiej z pomocą swego buchaltera Niemca Manderle, który jeździ nawet do Lipska celem zobaczenia się z Naczelnikiem. W początku powstania składają mu w darze cztery baryłki prochu, a gdy Kraków zdobyty zostanie przez Prusaków, na Wawelu bronić się będzie jedynie dzielny buchalter-Niemiec na czele 20 ludzi!

Bliscy ich krewni Hallerowie należą do starszego już patrycjatu, dobrze zżytego z Krakowem. Przecież posiadali tu od XVI wieku drukarnię, a w XVIII wieku siedzą w Rynku pod nr. 9 i ul. Stolarskiej 5, posiadają wielki handel korzenny na Kaźmierzu, dom i składy na Podgórzu i w Sukiennicach. Najwybitniejszym z nich, to Józef Antoni Haller, a po jego śmierci czas pewien dzieci jego prowadzą handel pod nazwą „kompanji hallerowskiej". Lecz i oni porzucają wkrótce swój zawód kupiecki, kupują maj. Polankę i otrzymawszy szlachectwo austrjackie z przydomkiem „de Hallenburg" oraz herbem, w którym figuruje koniczyna, jako wspomnienie sprowadzenia jej przez nich do Polski, wsiąkają w sfery ziemiańskie. Wnuk Józefa Antoniego jest prezesem Republiki Krakowskiej (1839). Do nich też należał dom „pod obrazem" na Rynku nr. 19, gdzie słynęła sprzedaż hurtowna piwa angielskiego. Inną rodziną ówczesnego patrycjatu to Barszczowie. Do dziś dnia istnieje niedaleko kościoła Panny Marji dom na „Barszczowem". Starzy to kupcy, od trzech wieków mieli w Krakowie dobre imię, a już w 1607 r. znany był Andrzej Barszcz, radny miasta i kupiec w Sukiennicach. Posiadali oni aż cztery domy na Rynku, duży dom w ul. Siennej 4, wielki ogród za furtą Mikołajską, a szynkownia win w domu zwanym „Malawanczowskim" odegrała w przededniu powstania kościuszkowskiego tę rolę, jaką spełniła warszawska „Honoratka" przed powstaniem listopadowem. Wśród olbrzymiego gwaru i dymu tytoniowego wygłaszano tam mowy polityczne, debatowano nad zbawieniem kraju i... przygotowywano przyszłe powstanie. Jeden z Barszczów, Józef, był doktorem filozofji, prezydentem miasta (1766), dziedzicem Olszy i Prądnika Celarowskiego. Do wielkich winiarzy krakowskich należeli Mączeńscy, którzy we własnym domu przy ul. Sławkowskiej posiadali miody, jakich gdzieindziej trudno byłoby znaleźć. W czasie rozbiorów Polski na gruncie krakowskim zjawili się też Wentzlowie, zamieszkali wtedy na ul. Szewskiej. Rodzina ta odznaczała się tak bogactwem, jak wielką solidnością, to też cieszyli się ogólnem poważaniem, a Maksymiljan Wentzl, posiadający handel woskiem pod „Krzysztoforami", dorobił się fortuny, obliczanej na 7 milj. zł. Krewnymi Wentzlów są w tych czasach Fiszerowie, z których Jan Franciszek Fiszer otwiera na Rynku Gł. 44 handel towarów korzennych, a istniejący w tej rodzinie po dziś dzień skład z materjałami piśmiennemi założony został przez Jana Fiszera w Rynku Gł. 32. Za Rzeczpospolitej Krakowskiej przybył nowy zastęp rodzin, mających wkrótce odegrać na gruncie miejscowym dużą rolę. Do nich należeli też Kirchmajerowie, szlachta niemiecka, krewni Barszczów. W domu zwanym „saladynowskim" na Rynku 44, kupionym w 1777 r. mieszkał naówczas Józef

(Dokończenie na str. 51-ej).



Jeden z typowych dziedzińców domów patrycjuszowskich przy ulicy Kanoniczej.



Na lewo: Widok na Barbakan i Bramę Florjańską w początku XIX wieku. Liczne furgony z towarami wjeżdżały tędy do miasta.

Kropla wody...



ZATRZYMUJE 100 koni MECHANICZNYCH

Silnik samochodowy to jedna z najpiękniejszych i najważniejszych zdobyczy techniki. W ciągu kilkudziesięciu lat dokonano tylu ulepszeń, tylu zmian, że dzisiejszy silnik, jaki znajduje się w najnowszych wozach zarówno amerykańskich, jak i europejskich, to naprawdę istne cacko pod względem precyzji działania i celowości wszystkich części składowych. Nie ma tu nic zbytecznego. Każda poszczególna część jest obmyślona, nietylko pod względem swej konstrukcji, ale także materjału, z którego jest wykonana. Powiedziałbym, że jest to poprostu bajecznie logiczna i harmonijna myśl ludzka, wcielona w tworzywo metalowe. Jakieś dziwne uczucie dumy ogarnia człowieka, gdy bliżej przypatrzymy się budowie i działaniu tego cudownego instrumentu do pokonywania przestrzeni, którym do doskonałości, jak się zdaje, już chyba nic nie brak.

A jednak nic na świecie a zwłaszcza nic, co stworzyły ręce ludzkie, nie jest wieczne. Nawet ta bajeczna machina ruchu również ulega zużyciu. Uważają, że silnik samochodowy, który zrobił ponad sto tysięcy km, zasłużył sobie dobrze na emeryturę. Przeważnie już po przebyciu 60.000 km, cylindry i tłoki są silnie wytarte i wymagają doszlifowania. Nieraz już zastanawiano się nad tem, co właściwie najbardziej przyczynia się do zużycia silnika samochodowego. Czy nie możnaby przez odpowiednie urządzenie wprowadzić i pod tym względem jakichś zmian na lepsze?

W ostatnim czasie pojawiły się w zagranicznej prasie fachowej ciekawe spostrzeżenia, które sprzeczne są poniekąd z dotychczas panującemi poglądami. Wiadomo było, że najbardziej przyczynia się do zużycia cylindrów wysoka temperatura, nierównomierna dla poszczególnych części i niesłychanie wielka szybkość, z jaką poruszają się w cylindrach tłoki. Szybkość ta jest przytem niebywale zmienna, bo waha się od zera do szybkości biegu kuli karabinowej. Prócz tego nie ma właściwie odpowiedniego urządzenia dla rozprowadzenia smaru, który przy każdym skoku tłoka zostaje niejako zeskrobywany i spalony. Nic dziwnego, że przy tak wielkiej szybkości i zmienności ruchu ślizgowego tłoków cylindry się tak prędko zużywają. Dotychczas każdy automobilista mniemał, że ta wysoka temperatura ścian cylindrów i wogóle wysoka temperatura, panująca w silniku, powoduje silniejsze zużycie silnika. Sądzono zatem, że w lecie, gdy woda w chłodnicy jest cieplejsza, silnik zużywa się bardziej, aniżeli w zimie, oraz, że przy pełnem obciążeniu zużycie to będzie większe, aniżeli przy wolnej jeździe, np. w mieście. Tymczasem wbrew oczekiwaniu, największe zużycie silnika zachodzi w zimie i to w miastach. Samochody, które kursują z wielką szybkością, pokonywując duże odległości bez przystanków tak, że silniki ich nie bywają tak często puszczane w ruch, nie niszczeją tak szybko, jak samochody w miastach. Specjalnie szkodliwy jest częsty rozruch silnika w zimie. Obliczono, że jednorazowe puszczenie motoru w zimie, powoduje zużycie, odpowiadające zużyciu, wywołanemu przez jednorazowe przebycie 200 km drogi.

Co do przyczyn tego zużycia silnika w czasie niepogody i przy częstych rozruchach, sądzono do niedawna, że powody te tkwią w paliwie, które w gaźniku nie zamienia się zupełnie na parę i pozostaje dalej w stanie skroplonym. Paliwo to spłukuje błonę oleju smarowego, co ma być przyczyną silniejszego tarcia. Ale także i pod tym względem ostatnie badania wykazały, że nawet rozcieńczenie oleju w stosunku 10% oleju na 90% benzyny nie powoduje bynajmniej tak wielkiego zużycia cylindrów, taksamo jak wysoka temperatura w cylindrach, wielkie obciążenie i znaczne obroty. To wszystko wbrew oczekiwaniu nie ma szczególnego wpływu na zużycie. Natomiast niszczeje silnik niebywale szybko, gdy ściany cylindrów *są zimne*. Wnioskują też z tego, że zużycie spowodowane jest raczej przez przyczyny natury chemicznej. Oto poprostu w zimnym cylindrze niema zupełnego spalenia i mieszanka wytwarza wskutek złego spalania pewne związki chemiczne, silnie nagryzające ściany cylindra. Szczególnie szkodliwa jest para wodna, która przy takiem złem spalaniu się wytwarza i skrapla się na ścianach cylindra w obecności *kwasu węglowego*. Wielki wpływ ma oczywiście rodzaj oleju. Olej nie może być za rzadki, zwłaszcza w wyższych temperaturach, gdyż wówczas cząsteczki węgla i inne pozostałości, zawarte w oleju motoru, szlifują niejako ściany cylindrów.



Nowoczesne samochody odznaczają się niezwykle oryginalnemi kształtami, — W kole: Serce samochodu — 6-cylindrowy motor benzynowy.

Cóż wynika z tego dla praktyki? Wniosek prosty — należy dbać o to, aby silnikowi *nie było za zimno.* Szczególnie należy dbać tutaj o temperaturę ścian cylindrów. Niestety kierowca niema zdolności łatwego kontrolowania tej temperatury. Termometr, wskazujący temperaturę wody w chłodnicy, bardzo często zawodzi. Dlatego też należy w zimie zawczasu dbać o odpowiednio ciepłe okrycie chłodnicy i o dobrą izolację maski silnika. Lepiej jest, gdy silnik możliwie szybko zostaje rozgrzany a nie należy przez długi czas przedtem trzymać go na wolnych obrotach.

Te wskazania praktyczne są stosunkowo *proste* i łatwe do przestrzegania. Także i w tym wypadku ważne jest, aby olej był odpowiedni (nie był za gęsty) gdyż ma to duży wpływ na szybkie rozgrzanie się motoru. To spostrzeżenie o ważności wysokiej temperatury przy pracy motoru jest napozór drobnostką, a jednak może walnie przyczynić się do przedłużenia życia motoru.

Jeżeli już mowa o drobnostkach, mających jednak duże znaczenie, to warto przy tej sposobności wspomnieć o jeszcze jednym ciekawym wyniku badań ostatnich czasów. Jakże często kierowcy, którym motor szwankuje, narzekają, że benzyna nie jest zupełnie czysta, t. j. bezwodna. W rzeczywistości kropelka wody w benzynie może dużo biedy narobić. Może ona poprostu uwięznąć w rozpylaczu i nie przepuścić mieszanki. Czasami może to nawet doprowadzić do zatrzymania się silnika. A cała ta bieda spowodowana jest przez to, że woda niestety nie miesza się z benzyną. Otóż stwierdzono, że pod tym względem o wiele lepiej zachowują się mieszanki napędowe, aniżeli czysta benzyna. — W mieszankach tych znajduje się bowiem alkohol, ten zaś z chciwością pochłania wodę, zawartą w benzynie i pośredniczy niejako w homogenizowaniu mieszanki, czyli przyczynia się do jej jednolitości. Tą własność posiada jednak alkohol tylko w pewnych granicach. Gdyby bowiem pochłonął za dużo wody, to może utracić swoją zdolność mieszania się z benzyną. I następuje wtedy rozdzielenie się poszczególnych części mieszanki napędowej. Niebezpieczeństwo takiego niemiłego zdarzenia jest mniejsze wówczas, gdy w mieszance znajduje się benzol. Jeżeli też dodamy do takich pokłóconych ze sobą części składowych mieszanki trochę benzolu, to spowodujemy, że składniki te znowu się ze sobą zmieszają i stanowić będą płyn jednolity.

Kłopoty, spowodowane przez obecność nawet kilku kropelek wody w mieszance, nie ograniczają się jednak tylko do mieszanki. — Stwierdzono bowiem że drobne nieczystości, znajdujące się na ścianach zbiornika benzyny dopiero wówczas zagrażają normalnemu funkcjonowaniu silnika, gdy do zbiornika tego dostanie się trochę wody. — Jak już bowiem wyżej powiedziano, woda nie miesza się z benzyną. Na powierzchni granicznej między kroplą wody a benzyną zbierają się ze szczególnem upodobaniem różne cząsteczki brudu ze ścian zbiornika, zawarte w benzynie. Mogą więc one z łatwością spowodować zatkanie się rozpylacza w gaźniku. Z tego wynika, jak bardzo należy uważać przy nabieraniu benzyny do zbiornika, aby nie dostała się tam jakaś kropla wody, zwłaszcza podczas deszczu lub śniegu. Znowu pozornie drobiazg, a jednak posiadający wielkie znaczenie.

Niepozorne bakterje doprowadzają, jakże często, do ruiny najzdrowsze organizmy, najlepszy motor, najdoskonalejszej konstrukcji szybko ulega zniszczeniu również z powodu jakichś nieznacznych usterek.

Inż. J. A.

NASZA ★ DRUGA ★ ANKIETA

CO bym zrobiła gdybym miała miljon?

ZOFJA TERNÉ.

Zapełniona sala jednego ze stołecznych teatrów rewjowych. Numer za numerem zbiera gromkie oklaski publiczności. I wreszcie na scenę wbiega... przemiłe, a trudne do określenia zjawisko. Przemiłe, bo obdarzone srebrnym głosikiem i wdzięcznym, niezwykle ujmującym uśmiechem. Trudne do określenia, bo już wyrosłe z dziewczęcia — a które nie zdążyło chyba jeszcze stać się... dorosłą kobietą. Zosia Terné. Malutka, szczupła, ginie poprostu w ogromie otaczających ją dekoracyj scenicznych, schowana w dodatku za wielki, przybrany w pęk kolorowych wstążek instrument, zwany gitarą.

Śpiewa specjalnie dla niej napisaną piosenkę: „O jej — ach gdybym ja nie była taka mała".

Piosenka jest rzewna i tworzy jakby wyraz marzeń małej Zosi. Zosia narzeka, że jest taka malutka. Śni o tem, by być taką dużą, aby w tramwaju choć raz ująć za zwisającą od sufitu rączkę. Choć raz zgiąć się, przechodząc przez drzwi, lub komuś zasłonić w kinie widok swą głową. Marzenia Zosi są nieziszczalne i wreszcie dochodzą do okrzyku rozpaczy: „Pięć razy tyle mieć lat co dziś, lecz być za to dwa razy wyższą! O jej ach, gdybym ja nie była taka mała...".

Wzrusza się we mnie widz. Walę brawo i domagam się „bis". Po chwili jednak przychodzi zastanowienie. Budzi się zamaskowany w widzu dziennikarz.

Oto kapitalna postać do wywiadu na temat marzeń o miljonie! Osóbka, która nawet piosenki śpiewa o przeróżnych swoich pragnieniach! Musi chyba mieć jasno skrystalizowane plany na wypadek, gdyby nagle ni stąd ni zowąd los stał się dla niej przychylnym.

Nieubłagana kolej zdarzeń doprowadza oczywiście w takim wypadku do owej rozmowy, zwanej fachowo interwiewem:

— Czy wolno? — To ja — odzywam się jak prolog w którejś z oper (trzeba przecież zacząć jakoś teatralnie).

— Ależ proszę! Dobry wieczór. Co pana do mnie sprowadza?

— Pani piosenka.

— Doprawdy? A która?

— Ta ostatnia. Dzisiejsza. Zazwyczaj śpiewa pani przecież tylko lekkie, wesołe piosenki. Nawet, że tak powiem, frywolne.

— No tak.

— A dziś tak sentymentalnie. Dlaczego?

Zosia Terné robi minkę zakłopotaną. Wreszcie zadaje mi głębokie filozoficzne pytanie:

— Czy nie uważa pan, że ja istotnie jestem zamała?

— Zamała? Do czego?

— No do śpiewania, do sceny.

— Ależ nic podobnego! Cały wdzięk pani, cała prostota tkwi właśnie w pani drobnej figurce.

— Tak pan myśli?

— Zaryzykuję nawet dalsze twierdzenie — zapalam się — sądzę, że gdyby pani była dużą, nie miałaby zapewne takiego miłego głosu.

— Cóż ja poradzę jednak — żali się Zosia Terné — że chce mi się być dużą. Niema rady na te marzenia.

— No, a gdyby tak los uśmiechnął się do pani?

— W jaki sposób?

— Naprzykład... — wyczekuję chwilę dla nadania wagi mym słowom — naprzykład gdyby pani miała miljon?

— Gdybym miała miljon? Ach panie! Natychmiast pojechałabym do Ameryki. Ameryka! Kraj wynalazków! Nowoczesnych maszyn i najbardziej absurdalnych możliwości...

— Co takiego? Ameryka, maszyny, wynalazki, pocóż pani to wszystko?

Zosia Terné robi uśmiechniętą minkę i tonem rozbawionego dzieciaka oświadcza:

— Kupiłabym tam sobie maszynę do wydłużania ludzi. Co pan myśli, że w Ameryce niema takich maszyn? Napewno są! A ja chcę być dużą! dużą! Słyszy pan? Oto jedyne moje pragnienie...

R. Burzyński.



Na prawo: Zofja Terné, jedna z najmilszych naszych artystek kabaretowych.

Fot. Dorys — Warszawa.



Pocztówka, która z egzotycznej krainy Marokka przywędrowała do Polski.

POCZTÓWKA NIESTRUDZONY WĘDROWIEC

Od dawna, bo od średniowiecza bodajże, datuje się tak powszechna moda czy, jak inni mogą to nazwać, nieszkodliwa „manja" kolekcjonowania i zbierania różnych przedmiotów. W miarę postępu czasu znajdujemy coraz to nowsze zamiłowania ludzi. Pomijając już hodowlę rasowych rumaków, która u możnych panów stała się punktem ambicji i wymogiem bon ton'u, a szła w parze z gromadzeniem po pałacach i dworach okazów broni zaczepnej i odpornej, zczasem zamiłowania te stały się mniej wojowniczemi. Wchodzi w modę tworzenie całych galeryj obrazów zbiorów mebli, okazów porcelany, najrozmaitszego rodzaju antyków, znaczków pocztowych, kartek widokowych, starych fajek, zegarów, lasek a nawet gumek do wycierania.

Zajmijmy się jednak tylko jedną gałęzią kolekcjonerstwa, coraz bardziej ostatnio popularną. Jest to zbieranie kartek widokowych związane najbardziej z ogromnie wszędzie rozpowszechnioną filatelistyką czyli zbieraniem znaczków pocztowych.

Z filatelistyką niewątpliwie każdy miał w życiu możność zetknięcia się czyto jako sztubak gromadząc pieczołowicie marki różnych krajów, czy też już jako poważny zbieracz, szukający pięknych okazów, może nawet „białych kruków". Filatelistyka stała się jedną z najważniejszych odmian sztuki kolekcjonarskiej.

Młodszym bratem czy siostrą filatelistyki jest kolekcjonerstwo widokówek. Ten rodzaj kolekcjonerstwa rozpowszechnił się dopiero z końcem w. XIX w miarę rozwoju sztuki fotograficznej, kiedyto każdy podróżujący, podobnie jak i dzisiaj, uważał za swój obowiązek posłanie z podróży widoczka z mniej lub więcej serdecznemi pozdrowieniami.

Mało kto jednak przypuszczał lub myślał o tem, że z takich kart można stworzyć zbiory, niekiedy wcale pokaźne. Znaleźli się ludzie, głównie w Niemczech i we Francji, którzy potrafili zawiązać Towarzystwa, skupiając tych właśnie zbieraczy i filatelistów.

W chwili obecnej liczba tych towarzystw jest dość pokaźna i wynosi około setki, licząc w każdem po kilka tysięcy członków, przyczem w niektórych państwach, jak we Francji ,w Niemczech, St. Zjednoczonych i Japonji jest ich po kilka. W Polsce takiej instytucji jeszcze nie posiadamy.

A teraz jaki jest cel tych towarzystw?

Celem ich jest przez podawanie do wiadomości zbieraczy adresów ich umożliwić w drodze wymiany uzupełnienie zbiorów, powiększenie i polepszenie ich jakości i doboru. Największe oczywiście znaczenie mają takie towarzystwa dla zbieraczy kartek, którzy nie mając kontaktu z zagranicą, byliby zdani wyłącznie conajwyżej na pamięć swych znajomych, zasilających co jakiś czas ich zbiory nowemi widokami.

Filateliści natomiast, którzy są już w tem lepszem położeniu, że mają do dyspozycji w sklepach znaczki całego świata, mogą uzupełnić swe zbiory w najbardziej wiarygodnych źródłach, bo w krajach, z których znaczki pochodzą i za najniższą cenę.

Każdy pragnący się zapisać do takiego towarzystwa wypełnia odpowiednią kart wpisową i po wysłaniu jej wraz z równo czesnem określeniem jakości swych zamiło wań i roczną wkładką (wahającą się ol 1 dol.) otrzymuje spis członków, w który także są umieszczone odpowiednie artykuł z dziedziny filatelistyki czy „filokarcia stwa", jakby żartobliwie można określić t odmianę kolekcjonerstwa. Niektóre towa rzystwa, pobierające jednak wyższą skład kę, wydają specjalne kwartalniki obficie ilu strowane, zawierające wyłącznie fachow artykuły.

Kolekcjonerzy kart widokowych dzielą si na zbierających kartki ze znaczkami naklejo nemi po stronie widokowej (oznaczeni t. c. v z francuskiego — timbre côté vue) lub z znaczkami po stronie adresowej (znak t. c. a

(Dokończenie na str. 31)

***Poniżej:** A oto jedna ze słonecznych ul współczesnego Rzymu, nosząca na sobie piętn wielkiej przeszłości.*





Zbieracz pocztówek odbywa, siedząc w domu, wielkie podróże. Nic też dla niego łatwiejszeg jak znaleźć się na Maderze, wyspie posiadającej wspaniałą florę.

Aleksandra Lubicz-Wolska

ANTENY

NOWELA • ILUSTR • CHARLIE

— Heggi! Czy słyszysz? Heggi!

Siedziały zwrócone do siebie twarzami, przy dwóch zsuniętych biurkach, opracowując notatki. Mimo stukotu i huku elektroturbin, dochodzącego z piwnic, niepodobieństwem było nie słyszeć sztucznie rozkapryszonego odniedawna głosu Witel Oldeborn.

— Słyszę — odpowiedziała z odcieniem znużenia Heggi. — Chciałam jednak ustalić moją myśl na papierze.

— Zresztą i tak wiesz, co chcę powiedzieć — zaczęła Witel. — Głupi skrupuł. Bo właściwie co ma do rzeczy, że byłyśmy przyjaciółkami od dzieciństwa? — mówiła dalej zirytowanym już głosem. Niebieskie jej oczy pociemniały, wyraz twarzy o zdrowej cerze i ładnych ustach stał się wyniosły, pogardliwy. — Przecież to częste zjawisko, że między najbardziej zżytymi ludźmi staje nagle współzawodnictwo o czyjeś uczucie, jak między nami, i z przyjaźni nie zostaje nic. Sama nazywasz zawsze rzeczy po imieniu, więc nie powinno razić cię to we mnie.

— Nie razi mnie. Słucham.

Heggi Solw nie patrzyła na Witel. Wodziła oczami po przewodach, rozdzielczych tablicach, retortach — całej aparaturze, wypełniającej własną doświadczalnię profesora Gudruda Herni, u którego od kilku lat pracowały z Witel jako asystentki.

— Dobrze. Więc streszczam się. Dziś jestem tu ostatni raz jako urzędniczka. Za dwa tygodnie mój ślub z Gudrudem!

Pełna skala triumfu wibrowała w głosie Witel. Oczy wpiły się w bladą jak zwykle twarz Heggi, szukając na niej z nieświadomą, drobiazgową starannością i okrucieństwem odbicia wewnętrznego wstrząsu. Lecz twarz Heggi nie drgnęła. Zwróciła jednak wreszcie głowę ku Witel i patrząc jej wprost w oczy, odpowiedziała chłodno:

— Nie mogę powiedzieć, że się z tego cieszę. Wiesz, że nie umiem kłamać. Ważny jest fakt, że Gudrud nie ze mną się żeni. Lecz jest już obojętne, czy to będziesz ty, Witel, czy jakaś inna kobieta. Widocznie tak musiało być. Myślę, że będziesz szczęśliwa.

Witel zaskoczona była tą odpowiedzią i spokojem Heggi. Wiedziała, 'że jest ona opanowana w najwyższym stopniu, lecz sądziła, że w chwili, gdy czyjaś przewaga niszczy całe jej życie — wewnętrzny spokój runie i ujrzy rozpacz tak wielką, jak głęboka jest natura Heggi. Czuła bolesny wysiłek woli ex-przyjaciółki. Z zwykłą zmianą nastroju wyciągnęła do niej rękę poprzez biurko, mówiąc niezręcznie:

— Dziękuję ci za te słowa. Nasza sytuacja jest bardzo skomplikowana. Z tego przemieszania objektywnych i subjektywnych przeżyć trudno jest znaleźć wyjście w tej chwili.

— To też przejdzie, Witel — obojętnie wtrąciła Heggi, podając jej rękę.

Dotknięta chłodem Heggi, Witel nerwowo zdjęła fartuch i czapeczkę, wstrząsnęła złote włosy i już bez słowa wyszła z doświadczalni. Heggi odłożyła papiery. Twarz jej miała rzeczywiście wyraz kamiennej maski. O wewnętrznej burzy mówiły tylko rozgorzałe, utkwione w jeden punkt, przepaściste oczy i drżące, dziwnie bezradne ręce.

— — — — — — — — — — —

Dzięki kilkuletniej współpracy z profesorem Gudrudem Herni, Heggi, po opuszczeniu jego doświadczalni, otrzymała asystenturę na uniwersytecie. Po paru miesiącach wszystko wydawało się zsystematyzowane. Nie pracowała ponad miarę, jak dawniej, gdy wszystko było podporządkowane idei twórczej. Pochłonięta swym bolesnym problematem, odsunęła się od przyjaciół i znajomych. Z profesorem Herni spotykała się rzadko. Witel nie widywała zupełnie.

Tłumione siłą woli uczucie panowało jednak wszechwładnie w pozaświadomej psychice, przejawiając się w świadomości, jako szara, dotykalna wprost mgła przygnębienia, w której ciężko było myśleć, pracować. To znowu przychodziły chwile, kiedy traciła panowanie nad sobą.

Cóż z tego, że przyznawała prawo do uczucia Gudrudowi i Witel? Cóż z tego, że żadnego z nich nie mogła winić, że stali się sobie drodzy? Gdzie jest jej miejsce, Heggi, mającej również prawo do odwzajemnianego uczucia? Nawet gdyby Witel przestała kochać Gudruda — nic się nie zmieni, gdyż Gudrud kocha ją jesienią życia. To nie mija z dnia na dzień.

Ogarniała ją rozpacz i z niewidzialnego, mentalnego ogniska padały w przestrzeń nabrzmiałe energją rozpaczy nieskrystalizowane, jarzące się własną gatunkowością atomy myśli. Po takim wybuchu Heggi zapadała w apatję i poddawała się znowu działaniu, otaczającej ją coraz silniej szarej mgły.

Trwało to od dłuższego czasu, gdy nieoczekiwanie, podczas świątecznych feryj zapragnęła znaleźć się między ludźmi. Udała się do opery. Podczas drugiego antraktu ze swego miejsca w krzesłach zobaczyła w loży rozbawioną Witel, pochłoniętą rozmową z kolegą męża. Heggi, drżącemi rękami, przyciskając lornetkę do oczów, spojrzała wgłąb loży, szukając Gudruda. Stał niedbale oparty o drzwi. Heggi widziała, z jak promienną radością wpatrywał się w Witel.

Wrażenie było okrutne. Fala lodowatego chłodu objęła Heggi. Ciało stało się jak gdyby odłączone od jej samoświadomości, skoncentrowanej w dotykalny wprost kłąb, naładowany całą potencjalnie olbrzymią energją jej udręczenia. Nie była to nienawiść. Był raczej egoizm ślepej, głuchej rozpaczy, który wyładował się wreszcie w szaleńczy, powtarzający się w maszynowym rytmie, wewnętrzny krzyk:

— Ja — nie — chcę — ja — nie — chcę...

Skandując sylaby, straciła pojęcie czasu i miejsca. Kiedy oprzytomniała, stwierdziła z martwą obojętnością, że leży w łóżku w swem własnem mieszkaniu. Rozszerzone, błędne oczy Heggi szły w ciemnię pamięci, chcąc wytłumaczyć ten fakt. Nagle zadźwięczał dzwonek telefonu. Usłyszała głos:

— Do państwa Herni?... Nieszczęście z panem?... Pani nie może przyjechać. Przywieźli ją nieprzytomną z teatru. Nie. Niemożliwe.

Myśl Heggi wlokła się ospale w kierunku zrozumienia słyszanej tylko co rozmowy:

— Państwo Herni?... Gudrud i Witel... „Stało się nieszczęście z panem"... Pan... to Gudrud... Co to znaczy?...

Nagle uświadomiła sobie z ponurą dygoczącą pewnością:

— Gudrud nie żyje.

Zamknęła oczy. Zapadła znowu w stan anormalnego snu.

— — — — — — — — — —

Po dwóch tygodniach Heggi podniosła się z łóżka. Doktór określił jej chorobę jako reakcję nerwowego wstrząsu. Zgodziła się w milczeniu z tą diagnozą. Wszystkie jej myśli pochłaniało rozwiązanie dręczącego pytania, dlaczego tak obojętnie przyjęła wiadomość o tragicznej śmierci Gudruda? Z powodu choroby nie była na jego pogrzebie. To również nie miało znaczenia. Ważne było tylko uczucie niepokoju, graniczącego z przerażeniem przed odkryciem jakiejś nieznanej pozytywnej prawdy, która — Heggi czuła to wyraźnie — istniała napewno w związku z tem zabójstwem.

Skrupulatnie analizowała swe myśli i stawała się coraz bardziej niespokojna, przyszedłszy do przekonania, że właściwie od czasu choroby nie kieruje niemi sama. Napływały w orbitę jej pojmowania i analizy nie z jej własnej inicjatywy, lecz jakgdyby na rozkaz czyjejś niewidzialnej woli, podającej je w logicznym porządku dla doprowadzenia do zgóry określonego wniosku. Mentalna osobowość Heggi systematycznie była odsuwana, gdy zastanawiała się nad zabójstwem Gudruda.

Zabójca, asystent na uniwersytecie, Talen Gald, był jej ex-kolegą. Spotykała go rzadko. Wiedziała, że widywał się od czasu do czasu z profesorem Herni. Nie mogła zrozumieć nawet w przybliżeniu pobudek, które skłoniły go do zastrzelenia Gudruda. Nie wchodziła w grę kobieta. Wiadome było, że Gald nieprzytomnie kochał swoją żonę, z którą się rozwiódł. Nie było zawiści na polu naukowem. Gald szedł inną drogą. Kiedy dowiedziała się z pism, że odpowiedzi Galda skoniły sędziów do poddania go ekspertyzie psychjatrów — niepokój, w którym żyła nieustannie, spotęgował się jeszcze bardziej.

W kilka tygodni później ukazała się w gazetach wzmianka, że obrońca Galda złożył w sądzie zeznanie oskarżonego, które jednak zostało wyłączone ze sprawy ze względu na nienormalność. Wzmianka ta zelektryzowała Heggi. Zaczęła ją prześladować spokojna, rozkazująca myśl:

— Przeczytasz to.

Heggi próbowała zrzucić z siebie przymus tego nakazu, lecz bezskutecznie. Zaczęła robić starania, by otrzymać pozwolenie na wykonanie tej myśli, gdy wyznaczone zostało ostatnie posiedzenie sądu w sprawie Galda. Nie miała odwagi pójść.

Dowiedziała się z gazet, że Gald został uniewinniony, jako chory psychicznie. Podawano również, że profesorowa Herni zrzekła się apelacji, będąc — jak zresztą wszy-

scy obecni na sprawie — pod wrażeniem strasznej depresji i błędnych oczu Galda, odpowiadającego z tępą monotonją na wszystkie zapytania prokuratora:

— Wszystko już wytłumaczyłem piśmiennie. To, co nazywa się Talen Gald, powinno być po-wie-szo-ne. Proszę o powieszenie tak zwanego Talena Galda. To po-win-no-być-po-wie-szo-ne... Powieszone....

— — — — — — — — — —

W małym, ponurym pokoju sądowego archiwum, przesyconym specyficznym zapachem starych aktów i ksiąg, Heggi drżącemi rękami otworzyła zeznanie Galda. Przerzuciła kilka stronic. Zaczęła od rozdziału zatytułowanego:

„MOJA PSEUDO-ZBRODNIA".

„Okres mego życia, poprzedzający śmierć profesora Herni — czytała — był dla mnie stanem całkowitej apatji, wywołanej beznadziejnością przywiązania do Iwi, mej żony. Byłem mechanizmem, wypowiadającym daną ilość słów na dany temat, wykonywującym daną ilość skoordynowanych z tym tematem ruchów, gestów itd. Właściwe moje „JA", stanowiące odrębność mej indywidualności, nie brało w tem żadnego udziału. Wydany był nakaz pracy w pewnym kierunku, praca była wykonywana, energja czerpana z akumulatorów. Wystarczała tutaj niewidzialna sieć precyzyjnych przetworów mentalnych. Poza przymusową pracą na uniwersytecie byłem bios-automatem, którego normalnym stanem stał się sen.

Przysypiałem wszystkie wolne chwile, nie uświadamiając sobie konkretnie nietylko mej indywidualności, lecz nawet osobowości. Próbowałem czasami rozproszyć ten wał apatji-snu, lecz dopływ woli do bios-automatu posiadał zamało energji, potrzebnej do tego wysiłku. Długi czas sen mój był stanem zupełnej niepamięci, gdy nieoczekiwanie zaczęła się w nim zjawiać pewna świadomość wrażeń. Z początku, budząc się, nie mogłem zdać sobie z nich sprawy, lecz stopniowo przyszła mi tutaj z pomocą moja eksperymentalna wiedza.

Cały mój dotychczasowy naukowy dorobek szedł po linji badań elektro-magnetycznych fal ludzkiej, mentalnej energji. Pracą tą zdołałem zainteresować profesora Henri, przedstawiwszy mu cały szereg dowodów, że ognisko mentalne każdej osobowości wypromieniowuje na niebywale krótkich falach energję elektro-mentalną, wykazywaną normalnie przez manometr. Dowiodłem mu, że — zależnie od potrzeb chwili — energja ta, podobna radjo-falom, może być przetwarzana przy odpowiedniej aparaturze. Dowiodłem mu, że absurdalną ciemnotą mas jest wiara w tak zwanych „nieboszczyków", „duchy" czy „dusze", widywane przez niektóre wysubtelnione indywidua. Absurdy! Istnieje tylko mniej lub więcej subtelna energja, istnieje tylko ELEKTRON! Istnieje tylko potencjalna siła wypromieniowywania elektro-atomów myśli silnych, a więc nadawczych ognisk mentalnych — i wchłanianie, a więc odbiór mentalnej energji przez dane słabe osobowości ludzkie, przetwarzające zlecenie na danych falach, stosownie do ich psychologicznej gatunkowości i własnego nastawienia mentalnego odbioru. Istnieją tylko osobowości nadawcze o twórczem bogactwie ognisk nadawczych i anemiczne ośrodki, zdolne tylko do odbioru, karczmy rozdrożne! ANTENY! ANTENY!

Świadomość moja stała się również karczmą, gdzie schodzić się zaczęli jacyś nieznani mi goście. Zrozumiałem, że z powodu mej rozpaczy — jednokierunkowej, mentalnej pasywności — podpadłem pod działanie jakiegoś silnego elektromentalnego ogniska, promieniującego na tej samej fali. Stawiałem temu opór, lecz był zbyt nikły. Budziłem się całemi tygodniami z przykrem wspomnieniem odbierania obcych mi, pozornie beztreściwych fal. Później do tych bezprzedmiotowych wyczuwań przyłączył się nowy składnik: zapach.

Był to zapach, który idzie jesienią z gnijącego podściela lasów, ostry, wnikliwy, wchłaniany z rozkoszą przez jakąś część naszej złożonej osobowości, mimo zrozumienia, że źródłem jego jest rozkład. W moim śnie zapach ten zbliżał się rozrzedzonemi wibracjami, wzmacniał się stopniowo, przenikał mnie całkowicie i narkotyzował resztki samoobrony. Czułem się wreszcie zupełnie bezwolny. Przestałem wyczuwać nawet cień podstawowych cech mej indywidualności, nie istniał żaden punkt styczny między nią i tym dziwnym stanem, prócz jakiejś niezwykłej, objektywnej mentalnej kontroli, notującej moje wrażenia z matematyczną ścisłością.



„Zdziwiona spojrzała w twarz mężczyzny...".

W tem stadjum to, co nazywane jest Talenem Galdem, zaczęło gorzej wypełniać swą pracę na uniwersytecie. Zaproponowano mu wypoczynkowy urlop. Stałem się niewolnikiem ZAPACHU.

Zacząłem go rozumieć. Nieznana mi, lecz bezspornie istniejąca mentalna aparatura czwartego wymiaru transformowała powoli ten zapach w barwę, w zmienny, wibrujący kształt i wreszcie — w ton. Objektywne badanie tego przetwarzania wibracji stawało się porywające. Zapomniałem o istnieniu bios-automatu, zwanego Galdem. Czułem chwilami, że tracę z nim ów subtelny punkt styczny, który wiąże osobowość z tą najordynarniejszą formą materji, jaką jest ciało. Zdarzało się to wtedy, gdy uświadamiając sobie odpływ fali Zapachu, podążałem za nim w mem materjalnem, lecz innowymiarowem ciele, dla którego nie istnieją przestrzeń i przeszkody. Lecz przychodziła chwila, gdy wibracje Zapachu stawały się zupełnie niewyczuwalne. Były to dla mnie momenty zupełnego zatracenia się. Jak długo trwały — nie mogłem skontrolować. Wiem tylko, że nagle zdawałem sobie sprawę z zetknięcia się znowu z mojem fizycznem ciałem. Powrotowi temu towarzyszyło zwykle uczucie niepokoju, gdy w czasie mej nieobecności jakaś osobowość, których snuło się wiele na drodze mej pogoni za Zapachem, nie wykorzystała Galda do zaspokojenia głodu wibracyj, idących w odwrotnym kierunku niż moje.

Pewnej nocy — jak dowiedziałem się później w noc zastrzelenia Herniego — zalała mnie nagle fala Zapachu o tak silnem napięciu energji, że wszystko zadrgało we mnie pełnią odbiorczości. Lecz Zapach cofnął się równie nagle jak przyszedł, zagarniając mnie niejako z sobą. Bezwolnie dałem się unosić tym falom, dopóki czułem ich odurzające wibracje. Potem nastąpił zwykły stan bezpamięci i kiedy poczułem kontakt z mojem ciałem, dowiedziałem się, że jestem w więzieniu. Talen Gald został zaaresztowany w chwili, gdy wystrzałem z rewolweru zabił profesora Herniego.

Nie tłumaczyłem się, nie usprawiedliwiałem. Wiedziałem na-pe-wno, że nie ja zabiłem Herniego. Musiałem jednak przemyśleć ten okropny, zdumiewający fakt. Płynęły tygodnie, poddano mnie obserwacji. Ciągłe indagacje przeszkadzały mi skoncentrować myśli. Zrozumiałem wreszcie: ktoś wykorzystał mój automat dla popełnienia zbrodni. Czyjaś silna nadawcza mentalność. Moją osobowość zatruł, znarkotyzował zapach. Kto był ZAPACHEM? Kto szukał automatu na fali Zapachu, paraliżującego stopniowo moją mentalną aktywność? Kto pragnął śmitrci Herniego? Ja dojdę. Muszę dojść. Czy w tym, czy w innym wymiarze!

A Gald powinien być zlikwidowany. Ja tego wymagam. Gald stał mi się wstrętny. Ja nie chcę więcej posługiwać się tym nędznym, splamionym krwią automatem, zwanym Talenem Galdem! Nie chcę! To powinno być po-wie-szo-ne! Żądam pośpiechu w wyznaczeniu sprawy! Muszą odszukać ZAPACH! A teraz z powodu bezsenności nie mogę ani na chwilę rozstać się z tym trudnym łachmanem! To-po-win-no-być-po-wie-szo-ne!

— — — — —

Przeczytawszy ostatnie słowa, Heggi wbrew oczekiwaniu stwierdziła w sobie spokój, którego nie odczuwała oddawna. Nie był to spokój zadowolenia, lecz przelewająca się, tajemnicza cisza. Pozostałość przeżytych wstrząsów i reminiscencje z „Zeznania" Galda snuły się jeszcze chwilę w formie powtarzanego uparcie słowa:

— Niemożliwe.. niemożliwe...

Czuła jednak coraz silniej, że zbliża się rozstrzygnięcie. Stanowczym ruchem zamknęła teczkę, zwróciła ją archiwiście i wyszła na ulicę. Poprzez przejaśnioną sinozielonemi światłami reklam upiorną mgłę jesiennego zmierzchu Heggi poszła w kierunku majaczącej linji taksówek. Podeszła do ostatniej i wsiadając podała adres:

— Seeplatz.

Było zacisznie i dobrze w tej czyściutkiej taksówce. Przymknęła oczy, rozkoszując się miękką szybkością ruchu. Podniosła powieki dopiero wtedy, gdy taksówka zwolniła i zatrzymała się. Chciała wysiąść, gdy przed szybą drzwiczek przesunęła się sylwetka mężczyzny, który, otwierając je, wyciągnął ku Heggi rękę. Sekunda wahania. Wysiadła. Zdziwiona spojrzała w twarz mężczyzny i odsunęła się gwałtownie. Poznała Galda. Zapytała natychmiast podniesionym głosem:


U.S. MAIL

— Gdzie jestem?
— Na Seeplatz.
— To niemożliwe!
Sprawdziwszy, że tak jest istotnie, gorączkowo zwróciła się do szofera:

— Dlaczego przywiózł mnie pan tutaj!? Kazałam jechać na Karlsburg 10!

— Łaskawa pani omyliła się widocznie. Otrzymałem wyraźnie polecenie jechania na Seeplatz — odpowiedział szofer.

— Nie traćmy czasu Heggi. Proszę niech pani siada — stanowczym głosem przeciął rozmowę Gald.

Heggi, ulegając nakazowi jego woli, zajęła znowu miejsce w taksówce. Gald, podawszy adres, usiadł obok niej spokojny, milczący.

— To niemożliwe, bym dała szoferowi inny adres, jak mój własny — zwróciła si Heggi do Galda, oszołomiona tem niesamowitem spotkaniem.

— Możliwe.

Spojrzała mu wprost w oczy. Były dziwne. Przejaśnione smutkiem. Z wychudzonej bladej twarzy bił surowy spokój, powaga, siła. Heggi uspokoiła się.

— On nie jest chory! — pomyślała.

— — — — — — — — — —

Gald stał w zadumie, oparty o biurko, jak gdyby zapomniał o obecności Heggi, która, wpatrując się w jego twarz, badała każdy jej szczegół. Pomyślała wreszcie:

— On napisał prawdę. W tym człowieku nie mogła powstać myśl zbrodni. Gudrud został zabity...

— Heggi, czy pani uważa mnie za zabójcę? — zapytał nagle Gald.

Spokojne, dziwne oczy Galda widziały jakgdyby najtajniejsze głębie jej myśli. Czuła to. Odpowiedziała cicho, lecz stanowczo:

— Czytałam dziś „Zeznanie" pana. Nie pan popełnił zbrodnię.

— Czy pani nie domyśla się, kto jest zabójcą?

— Zapach.

Gald podszedł do drzwi i przekręcił kontakt wiszącej lampy. Jasne światło zalało gabinet. Heggi zastygła w oczekiwaniu, gdy oparłszy się znowu o biurko, zwrócił się do niej spokojnym, bezbarwnym głosem:

— Po wyjściu z więzienia postanowiłem za wszelką cenę wykryć osobowość, której zbrodniczy instynkt spowodował — świadomie, czy nie — śmierć Herniego i zamarcie mojej osobowości. Cel, który sobie postawiłem, przywrócił mi dawną równowagę i energję. Zacząłem przyzywać zbrodniarza w IMIĘ SPRAWIEDLIWOŚCI na fali bezwzględnego, spokojnego nakazu. Zbrodnia według mnie została dokonana przez mentalną osobowość, nadającą ją na fali zapachu. Zużyłem wiele czasu na znalezienie tego mentalnego ogniska. Znalazłem. Dziś postanowiłem dokonać ostatnie doświadczenie. Rozkazałem Ognisku Zapachu, czyli zbrodniarzowi, stawić się na Seeplatz o godzinie 6-tej wieczorem. Czekałem. Punkt szósta, poprzedzana przez słabe wibracje zapachu, zajechała taksówka. Otworzyłem drzwiczki. Zdumienie moje nie miało granic, gdy wysiadła z niej pani, Heggi. Lecz mimo to wątpliwość nie istniała już dla mnie. P a n i z a b i ł a H e r n i e g o.

Słowa Galda padały na skuloną w fotelu Heggi. Przed rozgorzałemi szaleństwem oczami przewijały się wspomnienia przeżyć, poprzedzających śmierć Gudruda. Rozpacz poderwała ją z miejsca. Podbiegła do Galda i chwytając jego ręce, mówiła urywanym szeptem:

— Nieprawda! Jak pan może zarzucać mi śmierć Gudruda!? Kłamstwo! Kłamstwo!

— Heggi, — przerwał jej poważnie, bez cienia zdenerwowania. — Odpowiedz uczciwie: czy ani przez chwilę nie pragnęłaś śmierci Herniego? Odpowiedz — powtórzył współczująco, łagodnie.

Puściła jego ręce, przymknęła oczy i wejrzała we własną duszę. Minęła długa chwila milczenia, nim Heggi szepnęła wreszcie:

— Pragnęłam. Nie dopuszczałam, by myśl ta stała się wyraźna, nie sformułowałam tego ani razu, a jednak, tak, wiedziałam, że dyszy tem cała moja istota. Straszne...

Zatrzymała się i zakończyła powoli, z trudem:

— Wtedy w teatrze czułam, że „to" buchnęło w świat. Nie myślałam, że „to" może spowodować śmierć i komuś zmarnować życie...

Osunęła się w fotel bezradna, rozbita tem wyznaniem.

— Dobrze, że pani zrozumiała prawdę, Heggi. Dobrze dla pani. A teraz proszę wracać do siebie. Spełniłem swoje zadanie. Muszę zostać sam. Czekałem na tę chwilę od dnia opuszczenia więzienia.

— — — — — — — — — —

W kilka dni później spadła na Heggi wiadomość o umieszczeniu Galda w domu obłąkanych. Złamana doszczętnie, myślała gorączkowo:

— Tak. Wziął na sen, by wreszcie odejść od swego ciała... Ktoś osiadł w tej nadającej się jeszcze do użytku karczmie... A ja?

Zaczęła znowu przesuwać taśmę swej samolubnej miłości, przyczyny tragicznego splotu wydarzeń. I po raz pierwszy od śmierci Gudruda ogarnęła ją tęsknota. Uczucie to, czekające jak gdyby na tę chwilę, rozgorzało do potęgi. Pierwsze od lat wielu łzy zaczęły płynąć z oczu Heggi.

— Ja mogłam pragnąć jego śmierci, ja?— szeptała łkając.

Lecz posiew myśli Galda usuwał zwątpienie, a wspomnienie dobroci, dźwięczące w jego ostatnich słowach, wprowadziło do duszy Heggi bezbrzeżny żal.

Zaczęła mówić, jak gdyby Gudrud ją słyszał:

— Jeśli jestem winna twej śmierci — przebacz mi, Gud! Przebacz mi!

Nagle spostrzegła poprzez łzy pochyloną nad nią smutną, pełną rezygnacji twarz Gudruda. Na chwilę zamarło w niej życie, gdy miękkim ruchem przesunął dłoń po jej głowie. Lecz uczucie szczęścia przeszło w przerażenie, kiedy Gudrud, spojrzawszy jej głęboko w oczy, skierował się ku drzwiom. Heggi zerwała się, wołając z rozpaczą:

— Odejdziesz!? Nie odchodź, Gud! Ja nie zostanę sama! Gud!...

Przesuwając się bezszelestnie przez pokój, Gudrud zdawał się nie słyszeć. Heggi podążyła za nim. Po chwili znaleźli się na ulicy. Gudrud szedł wprost w kłębiącą się mgłę, rozkołysaną przedporannym podmuchem. Mimo wysiłków Heggi nie mogła dorównać mu w szybkości kroku. Miotała nią obawa, że Gudrud zniknie, że zostanie sama.

Było to ponad jej siły. Zapatrzona w jego sylwetkę, szła ostatnim wysiłkiem woli, somnambuliczną świadomością mijając samochody, tramwaje, zamykające się za nią uśpione ulice, zaułki. W pewnej chwili wydało się Heggi, że słyszy, jak gdyby rytmiczne uderzenia kół pociągu, lecz szła nieustannie z obłędnym uporem rozpaczy.

— — — — — — — — — —

Rankiem na czwartym kilometrze Zachodniej Linji Kolejowej znaleziono tuż obok toru ciało doktorki chemji, Heggi Solw. Piękna twarz Heggi była spokojna, mimo, że głowa przylgnęła mocno do ciemnej plamy na oszronionej murawie.

PIOSENKA PARYSKIEJ ULICY...



Słynny piosenkarz paryski Mayol.

Któż z nas nie słyszał o paryskiej piosence — o tej, którą śpiewa ulica i która na ulicy się rodzi, aby — podawana z ust do ust — przebiegać place i bulwary, zaglądać do małych „bistrots" i popularnych kabaretów, zawadzić niekiedy i o wytworny music-hall, zaznać nieco trwalszego rozgłosu na płycie patefonowej — aby w krótkim stosunkowo czasie przebrzmieć i pójść w zapomnienie. Życie paryskiej piosenki jest krótkie, ale zato barwne i rozmaite. Jeżeli się przyjmie — staje się naczelnym akcentem Paryża na kilka lub kilkanaście dni, a czasem nawet tygodni. A czyż to nie triumf prawdziwy zdobyć tak Paryż i ujarzmić jego kapryśne serce — nadać mu takt swego rytmu i opętać go swym wdzięcznym refrenem...

Piosenkę paryską rodzi nastrój chwili; aktualne zdarzenie, ewenement polityczny, sensacyjna zbrodnia czy towarzyski skandal — zostają podchwycone przez czujne ucho paryskiej ulicy, okraszone jej żywym i subtelnym dowcipem, kpiarskiem „esprit" czy sentymentalną łezką i na skrzydłach łatwej melodji rzucone w przestrzeń — tak sobie, od niechcenia — na łos szczęścia. Przyjmie ją Paryż, czy nie? Jeżeli tak, to nie zdziwmy się, jeżeli już pojutrze będzie ją mruczał pod wąsem zamiatacz ulic na którymś z bulwarów, jeżeli posłyszymy ją z malowanych ust uroczej midinetki, wybiegającej w południe z magazynu przy Rue de la Paix; popołudniu powita nas jej refren na progu studenckiej kawiarni, a wieczór zaśpiewa ją najnowsza „vedette" w którymś z nocnych lokali Montmartre'u.

Za tydzień rozbrzmiewać będzie z paszczy ulicznych megafonów tak długo, aż póki nowa „chanson du jour" nie wyprze jej swą aktualnością i nie usunie w cień zapomnienia. Dawniej piosenki dłużej się trzymały: serce Paryża było snać wierniejsze swym ulubieńcom. Dziś — gdy tempo życia staje się coraz szybsze — kapryśna publiczność żąda coraz to nowych

„przebojów", a to co dziś najmodniejsze, za miesiąc już wydaje się przebrzmiałe, stare, nie odpowiadające nastrojowi chwili.

— — — — — — — —

Ulica paryska... Grupa przechodniów otacza kataryniarza, gitarzystę i cymbalistę, którzy rozsiedli się ze swemi instrumentami na ławce na skraju skweru. Młoda dziewczyna zaprasza przechodzących swym zachrypniętym od okrzyków głosem. Krąg ludzi rośnie. Są wśród nich uliczni sprzedawcy i gazeciarze, śpieszący do pracy robotnicy i bony z dziećmi, gospodynie z torbami pełnemi zakupów powracające z hal targowych, grupki studentów i młodych dziewcząt, stary emeryt odbywający swój poranny spacer i malarz w fantazyjnym krawacie i szerokoskrzydłym kapeluszu na zwichrzonej czuprynie. Są potrochu wszyscy ci, którzy sami wyszli z paryskiej ulicy, czują jej rytm i kochają uliczne piosenki.

Muzykanci już ukończyli strojenie instrumentów i zaczynają swój występ. Dziewczyna korzysta z przygrywki, aby zaczerpnąć nieco tchu i swym dźwięcznym, choć trochę schrypniętym głosem — śpiewa. Płyną słowa piosenki, beztroskiej, to znów trochę smutnej, trochę kpiącej — zmierzając lekkim swym rytmem do pointy refrenu, który jutro może się stać najmodniejszym przebojem.

Widzowie słuchają w skupieniu — uważnie wsłuchani — poddając się rytmowi łatwej melodji — śmiejąc się z dowcipu — przytakując aprobująco ruchami głowy. Jeden lub drugi podchwycił już jej wątek i przyśpiewuje z cicha — a za chwilę już cała publiczność odpowie chórem echem refrenu. Padają brawa, „encore! encore!" — woła audytorjum. — Muzykanci nie dają się prosić, chętnie powtarzają piosenkę z coraz to większym zapałem, tembardziej, że do kapelusza smagłego wyrostka, spełniającego przy „trupie" funkcje kasjera, wpada coraz więcej brzęczących monet. Piosenka się podobała — sukces jej pewny.

Krąg słuchających rozluźnia się pomału, przygodni słuchacze rozchodzą się, spiesząc do swych zajęć z nową piosenką na ustach.

Jutro — na tym samym rogu — pojawi się typowy paryski „gavroche" z pliką nut pod pachą i sprzedawać będzie za grosze nową piosenkę dnia.

Piosenka paryska nie jest niczem nowem. Ojcem jej był właściwie Béranger, który już z początkiem ubiegłego stulecia rozpowszechnił ten nowy „genre". Utwory jego szybko zdobyły popularność, a odznaczały się finezją i iście francuskim wdziękiem, niepozbawionym prawdziwego artyzmu.

Słynna Yvette Guilbert tej właśnie paryskiej piosence zawdzięczała swoją sławę. Była jedną z najoryginalniejszych i najsubtelniejszych jej odtwórczyń i przez długie lata czarowała nietylko Paryż lecz i całą Europę subtelnym wdziękiem swoich piosenek. Przed laty gościła też w Krakowie i mieliśmy okazję podziwiać i oklaskiwać niemłodą już wtedy lecz jakże uroczą interpretatorkę paryskich „chansons".

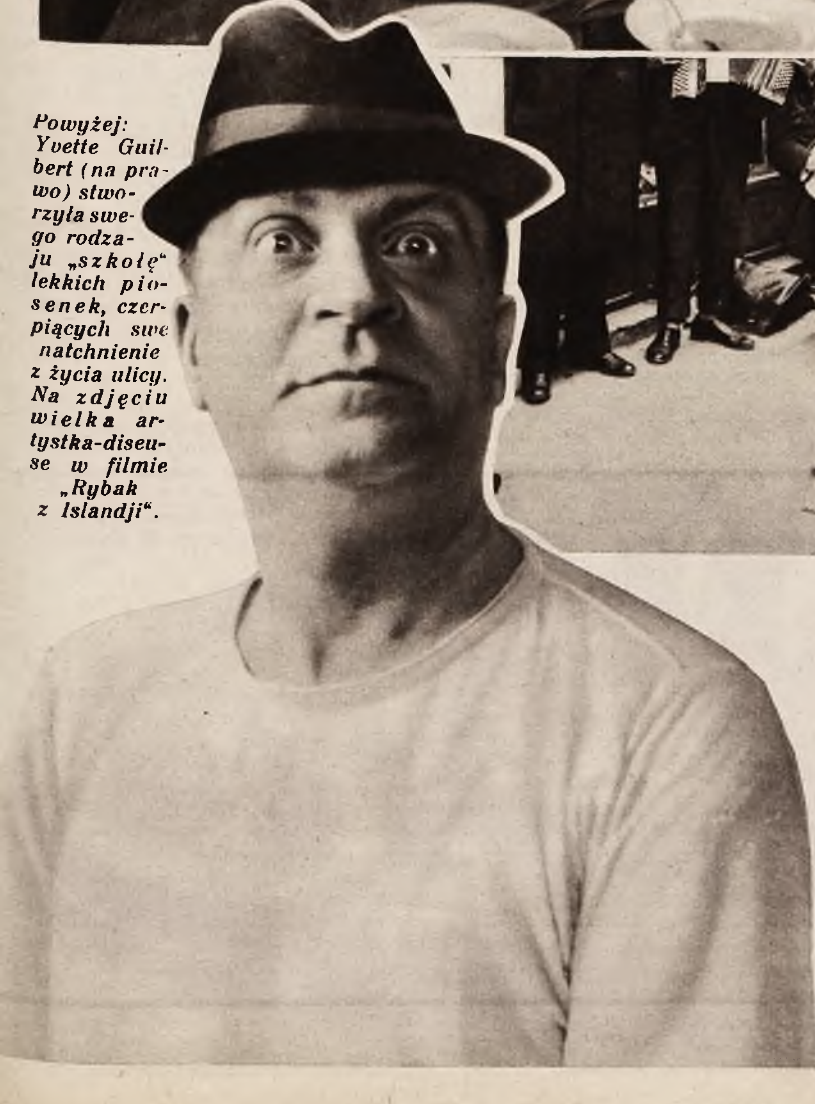
Jednym z najtypowszych kompozytorów tego rodzaju melodyj jest dziś w Paryżu Vincent Scotto, autor niegdyś tak popularnej piosenki „La petite Tonkinoise", która w triumfalnym pochodzie obiegała cała niemal Europę. Jest on z pochodzenia południowcem, pochodzi bowiem z Prowancji.



Powyżej: Yvette Guilbert (na prawo) stworzyła swego rodzaju „szkołę" lekkich piosenek, czerpiących swe natchnienie z życia ulicy. Na zdjęciu wielka artystka-diseuse w filmie „Rybak z Islandji".



Typowa dla Paryża scena uliczna improwizowanego koncertu i wtórującej głośno publiczności



Obok: Znany paryski komik, Dranem, pierwsze swe kroki w zawodzie piosenkarskim stawiał również jako śpiewak uliczny.

W piosenkach jego słoneczny humor południa łączy się harmonijnie z wyrafinowanem paryskiem „esprit" — toteż jest od lat ulubieńcem Paryża i atelier jego przy malowniczej uliczce de l'Industrie uważane być może za prawdziwe centrum produkcji paryskiej piosenki.

Dziś, dzięki radju i dźwiękowemu filmowi, piosenka paryska w ustach szelmowskiego gavroche'a Maurice Chevalier, stała się nam równie bliska i znana, jak rodowitym Paryżanom. Tak typowo paryskie filmy René Claire'a dały nam poznać i odczuć charakter i urok tej ulicy, z której łez i uśmiechów rodzi się popularna „chanson". Przestała ona być wyłączną własnością Paryża. Śpiewa ją dziś również Berlin i Londyn, Wiedeń i Warszawa — tę lekką, wdzięczną, wiecznie młodą piosenkę, zrodzoną „pod dachami Paryża"...

Julmier.

RYCERZE SZACHOWNICY



Nie mogę nazwać siebie szachistą. Jestem raczej „kibicem", przyjacielem szachownicy, po której nie moje, ale cudze ręce posuwają czarne i białe figurki. Nie jestem przytem zbyt nahalny i gracz nie musi przepędzać mnie, jak natrętną muchę. Kibicuję dyskretnie, denerwuję się spokojnie i daję dobre rady zawsze po niewczasie. Zwłaszcza w ostatnich tygodniach spóźniam się z radami regularnie, bo poczęła interesować mnie więcej filozofja szachów i obyczaje rycerskich figurek, niż sama gra...

Oto leży przed nami na stole miniaturowy plac boju. Z dwóch stron stanęły naprzeciw siebie dwie armje. Po jednej stronie biali idą do walki z cywilizacyjną misją. Siły obu armij idealnie równe, takie same. Objektywne szanse zwycięstwa jednakie. Dla wszystkich graczy równy start. Tak równego startu nie daje żadna gra fizyczna. Jest on przywilejem tylko tego szlachetnego umysłowego sportu. Ta idealna demokracja startu ma swój głęboki sens. Ona właśnie stanowi bazę, fundament piękna i mądrości gry w szachy...

Zasady wszystkich gier świata i ich ducha, moment filozoficzny tych zasad, można pomieścić pomiędzy dwiema najstarszemi grami: grą w szachy i grą w kości. Szachy to plan, świadomość, aktywność, pełna odpowiedzialność, mózg. Kości to przypadek, bierność, wiara w szczęście, bezsilność. Ponieważ nie gramy dziś w kości, weźmy zamiast tej gry hazard karciany. To będzie aktualniejsze i bardziej wyraziste...

Do kart ludzie mają szczęście, lub pecha, do szachów tylko głowę. Przegrana w karty nazywa się winą losu, przegrana w szachy jest winą gracza. Szachista planuje możliwie najdokładniej całość gry, stara się zupełnie wyeliminować przypadek. Karciarz przedewszystkiem na przypadek liczy, a planowanie odgrywa drugorzędną rolę w hazardzie. Racjonalizm, rozumowość gry szachowej hoduje odpowiedzialność gracza, odpowiedzialność umysłową i moralną. Szachista, który planuje prawie nieomylnie i wyklucza prawie całkiem przypadek, bywa najczęściej dobrym matematykiem. Karciarz, któryby tak nieomylnie, „na pewniaka" układał sobie partję, będzie... szulerem, bo chcąc tak ściśle planować, musi poznać w niedozwolony sposób karty partnera. Cóż dziwnego, że w takiem zestawieniu szachy to przymierze rozumu z moralnością, a karty aljans oszustwa z opatrznością losu. Różnice te płyną przedewszystkiem stąd, że szachy wypisały na swym sztandarze: „Równy start dla wszystkich", podczas gdy przy grze w karty już w momencie rozpoczęcia gry są uprzywilejowani przez los i przez los upośledzeni...

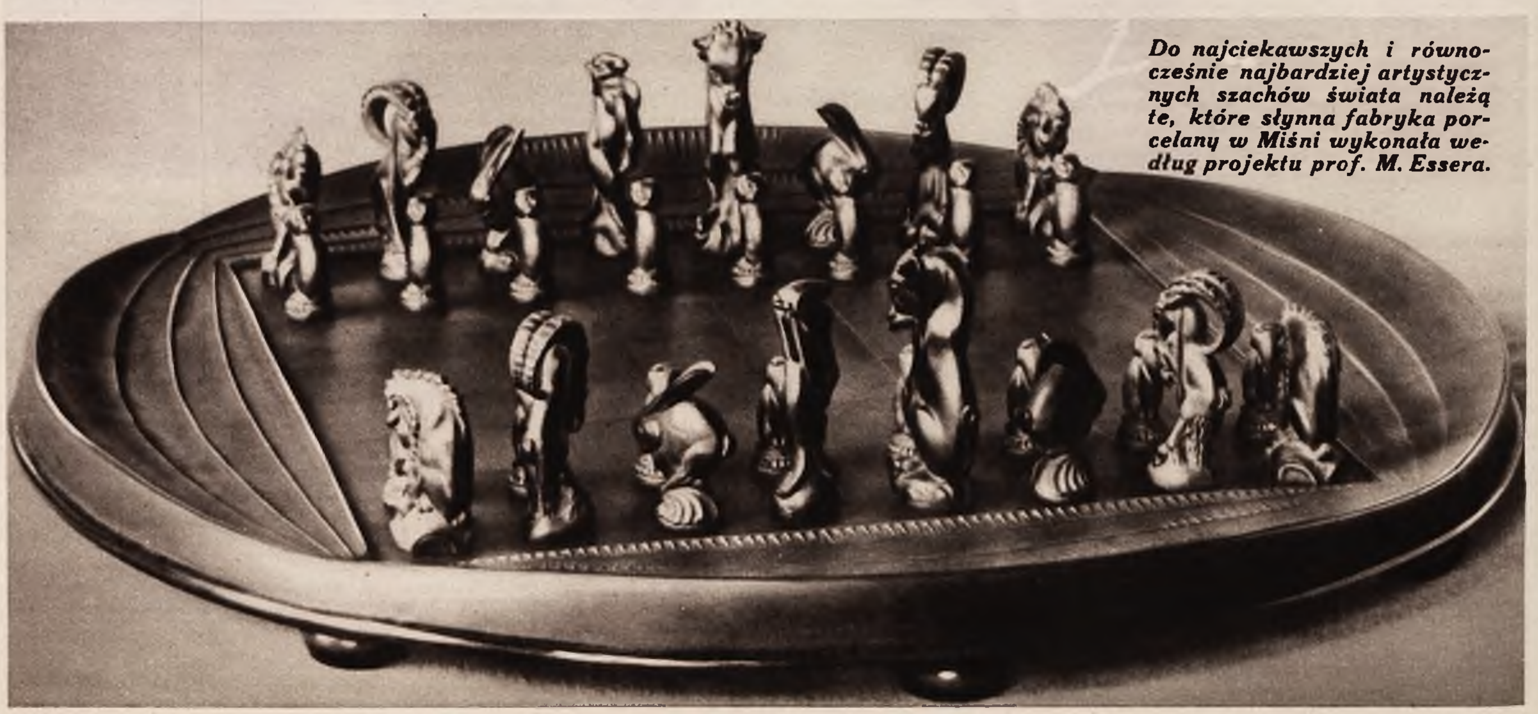
Gracz w szachy rzadko bywa w stosunku do gry zabobonny. Karciarz z reguły kieruje się przesądem... Wystarczy wspomnieć orgje przesądów w Monte Carlo, czy w innych jaskiniach gry hazardowej... Jest to rzecz zupełnie zrozumiała: tam, gdzie niema miejsca na wiarę w siły własnego mózgu, rodzi się wiara w przypadek i opatrzność losu.

A zatem szachy i karty to dwa nieomal światopoglądy — racjonalizm i irracjonalizm, planowość i opatrznościowość, mózg i nerwy bez mózgu, odpowiedzialność i bierność, równość startu i uprzywilejowanie przez los, moralność i łatwość konfliktu z moralnością...

Tak przez przeciwstawienie i porównanie, dałaby się ująć filozofja szachów... Warto zaznaczyć, że jeśli na świecie mniej ludzi gra w karty, niż w szachy, to nie dlatego tylko, że gra w szachy jest trudna, bo przecież i bridż ma swoje trudne kombinacje, lecz także z tego powodu, że ich filozofja życia codziennego, irracjonalna wiara w szczęśliwy przypadek, bliższą jest mistyce kart, niż mądrości szachów...

Szachy to bezkrwawa wojna dwóch armij. Wojna dla wszystkich. Wojna pacyfistyczna. Można zaryzykować twierdzenie, że dobrym wodzem na szachownicy bywa częściej osobnik całkiem do służby wojskowej niezdatny, niż wojownik tęgi i „zaprzysiężony" syn Marsa... Idealna strategja kieruje ruchami rycerskich figurek. Strategja tak różna od wojskowej, jak niepodobne są do siebie pole bitwy i pokratkowany kwadrat szachownicy... Ta strategja szachów wiąże się ściśle, jak wiadomo, z obyczajami figur szachowych... Przyjrzyjmy się im przez chwilę...

Na przedzie armji, obustronnie z taką równością demokratyczną startującej do boju, kroczą pionki, szary żołnierski tłum. Nazwa ich już weszła w życie codzienne. Mówimy o ludziach-pionkach. Pionek szachowy zachowuje się podobnie, jak szary człowiek w boju z tą różnicą, że na szachownicy



Do najciekawszych i równocześnie najbardziej artystycznych szachów świata należą te, które słynna fabryka porcelany w Miśni wykonała według projektu prof. M. Essera.

daleko więcej ceni się życie pionka. Pionek idzie naprzód, nie wolno mu się cofnąć, idzie w pierwszym szeregu, szarże idą z tyłu. Najczęściej pada pierwszy, a niezwykle cennym staje się, gdy szachownicy grozi wyludnienie i gdy ma nadzieję na awans, nadzieję nobilitacji... Pionek jeden ma prawo awansu, prawdopodobnie w nagrodę za bohaterstwo. Gdy dojdzie do tyłów przeciwnika, może dostać każdy stopień wojskowy stać się laufrem, koniem, wieżą — ba — nawet płeć może czarodziejsko, w tej bajce szachowej o awansie odmienić i stać się wszechpotężną królową. Tylko drogę do tronu ma zamkniętą. Na króla pionek awansować nie może.

Oba skrzydła armji zajęły wieże. Małozwrotne, ciężkie, jak bojowe słonie, poruszają się nie jak istoty żywe, ale jak martwa machina, tylko ruchem po linjach prostych i pod kątem prostym. Jest w tym ruchu jakiś bezwład martwej bryły, tylko cztery kierunki ruchu, jak cztery strony świata, uznającej. Obok wież rwą się do skoku konie, z których ruchów można składać swastykę, znak ognia, błyskawicy, zaskoczenia... Tuż przy królewskiej parze, jak adjutanci



Na prawo: Na zamkowym podworcu na Wawelu urządzono grę w żywe szachy, która dzięki wspaniałemu otoczeniu odznaczała się swoistym urokiem.

ustawieni, lotne laufry gotują się do przebiegania promienistych dróg, czarnych i białych, dróg światła i cieni...

Biały król stoi na czarnm polu, czarny na białem. Każdy z nich już zgóry depcze barwy przeciwnika. Królowie bowiem zawsze są pewni zwycięstwa. Król porusza się majestatycznie, powoli, krok za krokiem, jakby w obawie, by mu korona z głowy nie spadła. On jest w wojnie szachowej najważniejszy. Armja przeciwnika może zostać nierozgromioną, bez strat, lecz jeśli tylko król został osaczony, do niewoli wzięty, już losy wojny rozstrzygnięte. Zwyczajna dynastyczna wojna. Konkurencja dwóch królów. To też wszystki figury osłaniają króla, jeśli tylko grozi mu niebezpieczeństwo. Jego jednego nie zabija się bez ostrzeżenia, nie zabija się wogóle, ale wzywa niejako do poddania i osacza, bierze się do niewoli. Królobójstwa szachy nie uznają tak, jak ostro potępiał je feudalizm. W szachowych obyczajach stosowanych względem królewskiej figurki odwiercidla się jaskrawo obyczajowość feudalizmu, reguły feudalnego wojowania i stosunku do króla. Gdyby zaginęły wszelkie źródła historyczne, odnoszące się do dziejów feudalizmu Europy i Azji, z zasad gry w szachy możnaby wiele rzeczy wywnioskować...

Niezwykle ciekawą jest rola królowej na szachownicy. Najgroźniejsza figura... Kobieta. I to w grze, która przyszła ze wschodu, gdzie niższość kobiety jest c dziś dnia społecznym kanonem... Ciekawe, że jedyną wschodnią kobietą, którą wschód emancypował — ba — nad męską płeć wywyższył — jest królowa w szachach! Może ma to związek z wybitną rolą kobiet we wszystkich prawie pałacowych rewolucjach wschodu i może dlatego szachownica jest podobna do marmurowej posadzki pałacu, a ruchy królowej tworzą na tej posadzce prawdziwą sieć kombinacyj, sieć intryg? A może to udzielna, sprzymierzona władczyni? W każdym razie jest faktem, że szachom króluje — kobieta... Do jej dyspozycji są wszystkie ruchy wszystkich figur z wyjątkiem łamanych, zygzakowatych ruchów konia. Poprostu wszystko jej wolno, byle tylko chodziła prostą drogą. Dziwnych rzeczy wymagają szachy od kobiety...

Typowo wschodnią jest strategja szachów. Wódz z tyłu. Wodzowie chrześcijańscy w średniowieczu zwyczajnie pędzili na czele wojska. Na wschodzie król czy wódz z tyłu kierował ruchami armji. Dlatego Tatarzy, którzy tę nowoczesną strategję stosowali, nieraz pokonywali liczniejsze od nich wojska chrześcijańskie.

Reasumując można powiedzieć, że niewątpliwie bywa teraz na szachownicy, jak bywało ongiś w życiu feudalnem. Szkoda, że nie może być odwrotnie. Na szachownicy nierzadko zostają dwaj samotni królowie. Gdyby tak mogło być w życiu brakowałoby tylko trzeciego króla, a byłby komplet szopkowy...

Taką jest mądrość szachów i takiemi są ich obyczaje.

Królewska gra stała się ulubioną grą demokratycznych ludów Europy. Pokochały ją ludy północy, jak np. Rosjanie, Niemcy. W Polsce ma licznych nietylko zwolenników, lecz nawet mistrzów światowej sławy.

Antoni Wiśniowski.

Poniżej: Tak wygląda poważna partja szachów, w której biorą udział reprezentant Czechosłowacji R. Spielman, (po lewej) i przedstawiciel Danji A. Nimzowicz.





W meksykańskiej tawernie...





Sportowcy greccy w biegu — fragment ze staroetruskiej wazy.

Na lewo: Imperjum rzymskie przejąwszy swoją kulturę fizyczną z Grecji, stworzyło w licznych miastach wzorowe stadjony. Amfiteatralnie zbudowany stadjon rzymski w Nîmes, w połdn. Francji.

OD ATEN

Szybkiemi krokami zbliżka się rok 1936, kiedy sport polski będzie mógł po raz trzeci zdać egzamin w walce z przeciwnikami z całego świata o laur olimpijski. Egzamin mówiący o tężyźnie fizycznej naszego narodu, o sprawności organizacyjnej i o tem, że Polska mimo tak krótkiego samodzielnego bytu mierzyć się może na każdem polu z wszystkiemi krajami świata. Olimpjada! To magiczne słowo, które 2000 lat temu było co 4 lata na ustach całej starożytnej Grecji, tak i teraz jest celem, dla którego miljony ludzi pracuje nad swą sprawnością fizyczną, aby choć raz w życiu móc w igrzyskach uczestniczyć.

Genjalny rzec można Francuz, Piotr de Coubertin, obecny honorowy prezes Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego, rzucił z końcem ub. stulecia myśl, aby wznowić dawne klasyczne tradycje igrzysk olimpijskich. Pomysł ten znalazł niezmiernie żywy oddźwięk we wszystkich krajach i już w r. 1894 kongres związków sportowych zebrany w Sorbonie mógł rozesłać zaproszenia do Aten na pierwszą olimpjadę czasów nowożytnych. Spewnością nie zdawano sobie sprawy, jak wspaniałe owoce wyda odnowienie starych tradycyj i że co 4 lata przedstawiciele 5 części świato będą wiedli bezkrwawy bój w obliczu dziesiątek tysięcy widzów. Każdy początek jest trudny i dlatego zorganizowanie pierwszej olimpjady w Atenach było niezwykle szczęśliwem pociągnięciem, gdyż nowożytna Grecja uznała ten czas wprost za święto narodowe, przypominające jej dni zapomnianej świetności. Znalazł się też człowiek nazwiskiem Averoff, który ofiarował państwu swemu stadjon podobny do obecnie budowanych, wiraże były jednak tak ostre, że uniemożliwiały uzyskanie dobrych czasów na dłuższych dystansach, techniczne urządzenia znów nie były zadowalające, ale jak na ówczesne warunki stadjon ten był czemś jedynem swego rodzaju i wyprzedzał to wszystko co nastąpiło.

Wyniki, jakie uzyskali wówczas 40 lat temu zwyięzcy olimpijscy budzą dzisiaj uśmiech pobłażania. Obecnie na głębokiej prowincji polskiej osiąga się rezultaty jak 100 m w 12 sek., 1500 m w 4 min. i 33.2 sek., rzut kulą 11.22 m, rzut dyskiem 29.15 metr., ale kto może przewidzieć, czy za drugie lat 40 obecne „fenomenalne" rekordy nie zostaną wielokrotnie pobite! Rozwój nietylko sportowy, ale i organizacyjny przynosi z każdym dniem coś nowego. Nie znano wówczas w całej środkowej Europie bieżni żużlowych, biegano w pantoflach bez kolców, a zawodnicy niemieccy, którzy brali udział w pierwszej olimpjadzie, mieszkali w Atenach u osób prywatnych! Obecnie pod Berlinem w Döberitz będzie wybudowana cała „wioska olimpijska", licząca 150 domków, w której zawodnicy, uczestniczący w XI olimpjadzie znajdą wszelkie możliwe wygody, aby mogli stanąć do walki w pełnej formie.

Poza lekką atletyką odbyły się na I olimpjadzie zawody w gimnastyce, zapasach, strzelaniu, kolarstwie, wioślarstwie, szermierce, pływaniu, podnoszeniu ciężarów i w tenisie. Widzimy więc, jak wielka ilość sportów już wówczas została zaliczona do olimpijskiego programu, a chociaż nikt nawet nie przypuszczał, że kiedyś zostanie on rozszerzony o sporty zimowe, pięciobój nowoczesny, piłkę nożną itd. itd. — to wyeliminowanie tenisu, który nie doczekał się turnieju olimpijskiego od 1924 r., jest objawem stałych wahań w rozbudowie organizacyjnej. Jedna konkurencja przetrwa natomiast tak długo, jak długo odbywać się będą olimpjady: jest nią bieg maratoński, który już i w Atenach miał miejsce. Francuz Bréal dał pomysł, aby z historycznego pola bitwy pod Maratonem odbył się bieg, którego meta znajdzie się na stadjonie olimpijskim. Gdy wobec tysięcy widzów pierwszy wbiegł na bieżnię Grek Sotizios Luis, rozległ się z piersi jego rodaków tako okrzyk radości, jakgdyby odniesiono zwycięstwo narodowe. Triumf Grecji w tym biegu był zupełny, gdyż drugie i trzecie miejsce im również przypadło w udziale. Nawet na obecne czasy wynik Luisa Sotiziosa jest znakomity (2 godz. 55 m. 20 sek.), jeśli się zważy, iż uzyskano go w skwarze połud. słońca.

15. kwietnia 1896 r. przy wypełnionym stadjonie król grecki wręczył zwycięzcom medale olimpijskie i gałązki oliwne, zerwane w świętym gaju Olimpu. Jeszcze raz obeszli odznaczeni cały stadjon wokoło, na których czele kroczył zwycięzca biegu maratońskiego, żegnani niemilknącemi oklaskami — jeszcze raz zabrzmiał uroczysty hymn i chorągiew olimpijska, na której pięć kół symbolizuje zbratanie się pięciu części świata przestała powiewać na stadjonie Aten. I Olimpjada nowej ery została ukończona.

Pan-helleńskie igrzyska zostały przekształcone na zawody ogólnoświatowe, budzące coraz to większe zainteresowanie i kolejno Paryż (1900 r.), St. Louis (1904), Ateny (1906) Londyn — (1908), Stockholm (1912), Antwerpja (1920), Paryż (1924), — Amsterdam (1928), Los Angeles (1932), były widownią coraz to zaciętszych walk. Dla zachowania tradycji miejsca postanowiono organizować t. zw. „śród-olimpjady" pomiędzy olimpjadami głównemi, ale tylko jedna z nich została doprowadzona do skutku w r. 1906. Przygotowanie techniczne państw do tak częstych zawodów byłoby obecnie nie do pomyślenia, a przy absencji krajów zamorskich znaczenie „śród-olimpjad" zmalałoby zupełnie; dlatego też coraz więcej międzynarodowych związków sportowych organizuje mistrzostwa Europy, które są niejako przygrywką i egzaminem wstępnym dla przyszłych olimpijczyków.

W r. 1916 miały się odbyć igrzyska w Berlinie, nie doszły one jednak do skutku wobec wojny światowej, ale zato obecnie stolica Niemiec będzie chciała przewyższyć wszystko, co dotąd świat widział. Dziesięć kilometrów w przedłużeniu alei „Unter den Linden" obrano za teren, na którym powstał już stadjon. Pole to o obszarze 130 hektarów obejmie stadjon główny na 100 tysięcy osób, pływacki na 16 tysięcy, boiska do polo, ogromny obszar dla wyścigów konnych, zawodów gimnastycznych, — a nie można pominąć wspaniałego amfiteatru i kolosalnej hali krytej na 20 tysięcy widzów, którzy będą oglądać tam zapasy, boks i podnoszenie ciężarów.

Przygotowania organizacyjne idą, jak w zegarku i olbrzymia machina montowana i kierowana przez „Reichssportführera" von Tschammer und Osten, oraz prezesa komitetu olimpijskiego w Niemczech dra Lewalda napewno stanie na wysokości zadania. Jaki ogrom pracy jest do wykonania poza samem przygotowaniem terenów, można sobie wyobrazić z powyższego wykazu cyfr: musi być przygotowane 3.400.000 biletów, z czego połowa numerowanych, a wobec tego, że zawody odbędą się w 19 różnych sportach na 16 różnych terenach — bilety te dzielą się na 800 (!) gatunków.

Co miesiąc ukazuje się pismo „Olimpische Spiele 1936“ w czterech językach, któremu zawdzięczamy bardzo wiele z zamieszczonych tutaj wiadomości — co dwa tygodnie „Olimpia Pressedienst“ w 14 językach (po polsku jako „Wiadomości olimpijskie“), które służą jako reklama i jako informator o stanie przygotowań. Dla idealnego uzgodnienia pierwotnego programu z potrzebami publiczności i zawodników musiano go aż 36 razy przerabiać. 49 narodów zgłosiło już definitywnie swój udział, a jakie tu dopiero żądania będą kierowane do organizatorów, aby wszyscy mieli te warunki, jak u siebie w domu — tego nikt przewidzieć nie może.

Dla bezstronnego mierzenia skonstruowano czasomierz, który równocześnie fotografuje taśmę mety i samodzielnie wywołuje film, podając gotowy rezultat!

Orkiestra musi znać wszystkie hymny narodów uczestniczących, których chorągwie muszą być w każdej chwili gotowe, aby je wznieść na maszt olimpijski, ponadto przygotowuje się „koncert-monstre“ z udziałem 10.000 wykonawców; a prasa, publiczność, trudności komunikacyjne, obliczenie i przewidzenie wszystkiego wymaga fachowej pracy tysięcy osób. Ile trudności jest do pokonania z reklamą, a przedewszystkiem z finansowemi rozliczeniami.

Nie stać nas jeszcze na to, aby ubiegać się narówni z Włochami, czy Japonją o zaszczyt przydzielenia Polsce igrzysk olimpijskich w najbliższych latach, zato patrzmy i uczmy się, jak to robią inni, notujmy ich błędy i dobre pociągnięcia, konsolidujmy nasze siły. Mamy nadzieję, że nieraz zawiśnie biało-czerwony sztandar na maszcie zwycięstwa w Berlinie i że tak jak w roku przyszłym sztafeta z 30.000 biegaczy przeniesie znicz olimpijski z góry Olimpu do stolicy Niemiec, tak kiedyś w przyszłości zapłonie on równocześnie dźwiękiem olimpijskiego dzwonu w stolicy Polski.

Witold Horain.

DO BERLINA



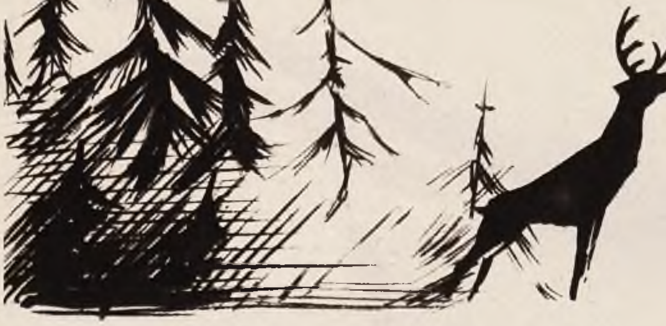
Pływaczka przy skoku w fale, obok ciekawa synteza ruchu sportsmanki w bronzie.

Na prawo: Nowoczesny stadjon w Berlinie, modelowany jak wszystkie inne na klasycznych wzorach. — Poniżej: Ciekawy start szybkobiegaczy w XX-tym wieku.





ZYGMUNT JORDAN.



„cwaniak"

SZKIC MYŚLIWSKI

Spotkali się kilka razy wiosną, ale zawsze albo o zmroku, kiedy myśliwy stał na wyrębie, oczekując ciągu słonek, albo o świcie, gdy wracał z miasta po całonocnej wyprawie, pół drzemiąc, pół czuwając. Trudno też było ocenić dokładnie przemykającego, jak cień kozła.

Był spory — to dało się łatwo zauważyć; był, jak „wielgie cielę" — tak brzmiały relacje drwali, gajowych i przyleśnych chłopów, ale ci zawsze przesadzają o trzysta procent. A kiedy sam zapragnął skonstatować, jak rzeczywiście wygląda ten legendarny kozioł — przesiedział napróżno kilka wieczorów na leśnej łące i wracał za każdym razem pocięty przez komary i coraz bardziej zdegustowany. Szelma, rogacz, jakby przeczuł, że czekają na niego — zaszył się gdzieś w lesie i nie wychodził. Na drugi dzień, znowu ktoś go widział w tem samem miejscu, gdzie zawsze.

Człowiek poprzysiągł, że go sprzątnie, a parostki, zapewne wspaniałe, przybije na ścianie swego mieszkania. (Rogacz chodzi do dziś-dnia po lesie, zdrów i cały...).

Kiedy skończył się czas ochronny, zaraz wybrał się z karabinkiem do lasu. Przesiedział w gęstym krzaku leszczyny około dwóch godzin, a tamten przez cały czas szczekał i tupał o kilkadziesiąt kroków, zasłonięty gąszczem niskiej olszynki i ani na moment nie wyszedł na polanę, by dać sposobność do strzału. Dopiero kiedy ściemniło się tak, że muszki nie było widać i myśliwy, zrezygnowany, wyszedł z krzaka, kozioł beknął i uciekł w górę po zboczu, tupocząc głośno i błyskając białym talerzem wśród gęstwiny.

Następnym razem myśliwy siedział aż do ciemna koło łąki, bez skutku, a kiedy wstał i ruszył w górę wąską ścieżyną leśną ku domowi, naraz o kilka kroków rozdarły się z szumem gałęzie i ogromny cień przesadził susem drogę, beknął w przestrachu i z łomotem przepadł w czarnym gąszczu, a wślad za nim sypnęły się wyszukane przekleństwa i propozycje... Niewiadomo, który z nich więcej się zląkł, ale myśliwy zdołał przynajmniej zauważyć na głowie przeciwnika ozdobę tak dużą, choć w ciemności źle widoczną, że jeszcze bardziej rozpalił się do myśli zdobycia tego nieuchwytnego, leśnego ducha.

Lecz szczęście nadal mu nie sprzyjało; to rogacz wcale nie wychodził na stałe miejsce, to znów ktoś, przechodzący lasem o zmierzchu, płoszył mu go w chwili, gdy już był pewny swego, a raz, kiedy czekał, ukryty w swoim krzaku leszczyny, kozioł tymczasem w innej stronie lasu, nagłym skokiem przez publiczną drogę tak przestraszył konie księdza, jadącego na zwykłego, sobotniego bridge'a do naszego nemroda, że skoczyły wbok, a dyszel trzasnął, jak zapałka. Ksiądz musiał brnąć błotnistą, leśną drogą, a kiedy przyszedł i opowiedział, jaki to „wielki smok" był przyczyną wypadku, myśliwy wściekł się nie na żarty.

— Gości mi będzie straszył, łajdak! — mruczał. — Już ja cię dostanę, ty cwaniaku! Tu, na tej ścianie zobaczy ksiądz jego rogi djable!

Poszedł w poniedziałek, przed zachodem słońca. Z olszowych gałęzi zrobił sobie gęstą zasłonę i usiadł na składanem krzesełku, pełen nadziei, rozglądając się bacznie wokoło.

Był pogodny, letni wieczór. Lesiste zbocza górskiego parowu złociły się w łunie zachodu, las w dole pociemniał i wyglądał tajemniczo, pełen czarnych wnęk, wśród których jaśniały srebrzyste pnie buków i jodeł. Cichy szum potoku ginął chwilami w podmuchach lekkiego wietrzyku, aż wkońcu zrobiła się cisza zupełna. Z nad wody uniosły się tu i owdzie kłęby oparu; łąka wyglądała, jak mleczna tafla wodna — to cienka warstwa mgły, nieuchwytna dla oka, usiadła tuż nad ziemią, zalewając nierówności terenu i kępki trawy.

Setki robaczków świętojańskich wypłynęły ze zmierzchem nad tę dziwną, seledynową powierzchnię, a z ciemnych głębin lasu wychodziły wciąż nowe ich falangi tak, że wkrótce łąka stała się jakby odbiciem bladego brzasku na niebie, pełnem gwiazd.

Jak urzeczony, patrzył nasz myśliwy w ten krajobraz z bajki, gdy tuż, obok niego zaszeleściło coś wśród wielkich liści łopianu i z pomiędzy nich wysunął się młody lisek; zastrzygł uszkami i zgrabnym truchtem ruszył ku środkowi łąki, tonąc po brzuch w warstwie mgły. Za chwilę puścił się w pogoń za nadlatującym robaczkiem świętojańskim.

Zaczęła się cudowna zabawa. Lisek podbiegał do błyskających wokoło świetlików, podskakiwał wysoko i starał się ściągnąć przedniemi łapami błędne ogniki, gasnące, gdy zdawał się ich dosięgać i zapalające się znowu wyżej. W zupełnej ciszy, jaka panowała na łące słychać było wyraźnie sapanie i prychanie małego wesołka, uganiającego tu i tam, z gracją tancerza.

Ukryty w gęstym krzaku, zapatrzony w to cudne widowisko człowiek, zapomniał, w jakim celu tu przyszedł, gdy nagle po drugiej stronie łąki coś trzasnęło głośno, zaszumiały rozpychane gałęzie i na polanę wysunął się duży cień. Lis przepadł w krzakach, a nowy gość zbliżał się już w lansadach wprost ku myśliwemu...

Strzelać kulą z pomiędzy gałęzi do szybko biegnącego zwierza, było niemożliwością, a tu już o parę kroków od kryjówki przebiegł wspaniały rogacz, dumnie dźwigając na głowie poczwórne różki ósmaka, zawrócił w galopie na miejscu i pognał spowrotem pod olszynkę, gdzie naraz stanął w miejscu i spokojnie schylił się ku trawie.

Teraz myśliwy ochłonął z wrażenia, dziękując sobie w duchu, że nie pokusił się o przedwczesny strzał.

Bezszelestnie uniósł się z krzesełka i patrząc uważnie pod nogi, powoli zaczął przyklękać na jedno kolano. Wreszcie dotknął ziemi. Teraz, patrząc na koniec lufy, aby nie zawadzić o gałęzie, opuścił karabinek i przyłożył go do ramienia. Serce tłukło mu się w piersi, oddech stał się prędki i świszczący... Spojrzał wreszcie pod olszynkę: rogacz stał w tem samem miejscu, majacząc ciemno-rudą plamą, rozpływającą się w konturach, ale jeszcze tak wyraźną, że strzał mógł być pewny...

Odetchnął głęboko, wziął na cel i nacisnął cyngiel. Suchy trzask kulowego strzału rozdarł ciszę, rogacz skoczył w górę i padł, jak rażony gromem, a równocześnie o parę kroków z boku wypadła sarna, a za nią drugi rogacz i w szalonych susach pognały wprost ku kryjówce strzelca.

Myśliwy zerwał się i wyskoczył z pomiędzy gałęzi w chwili, gdy sarna zniknęła w gąszczu, a kozioł zatrzymał się raptem w odległości najwyżej piętnastu kroków. I wtedy zdębiał... Przed nim stał znowu tensam rogacz, którego przed chwilą ubił, z temi samemi poczwórnemi rożkami ósmaka, prowokując do strzału...

Zdumiony, zupełnie nie rozumiejąc tej całej mistyfikacji, myśliwy poderwał karabin i nacisnął cyngiel...

Nic!...

Broń, nie zarepetowana po pierwszym strzale, milczała..

Trzęsącemi się rękoma szarpnął zamek, wprowadził nowy nabój i gdy już składał się do strzału, rogacz zniknął w lesie, zrobiwszy parę olbrzymich susów.

Myśliwy stał chwilę, zupełnie zbaraniały... Jakto?! Więc rogacz, który przed chwilą padł w ogniu i leży ot — tam pod olszynką, równocześnie zwiał mu przed nosem w las?... Czyżby w tym lesie były dwa ósmaki...? Niemożliwe! Za starym był myśliwym, aby nie poznać odrazu, że to był jeden i ten sam kozioł.

— A w takim razie — co u licha leży tam pod krzakiem?!...

Pobiegł na miejsce strzału, gdzie nieżywa leżała ta tajemnicza sztuka. Po drodze przypomniał sobie, że strzelając, widział mimo zmroku parostki na głowie ofiary, więc przynajmniej niema obawy, aby to była koza.

Rzeczywiście na zroszonej krwią trawie leżał koziołek, słaby szóstak, o lichych, cienkich parostkach i niezbyt duży... Dostał kulę przez komorę i po strzale ani zipnął.

Ale... skąd on się tu właściwie wziął?! I... do djabła — kiedy?!

Niefortunny łowca długo głowił się nad rozwiązaniem tej zagadki, a i dziś jeszcze nie jest pewny, jak to się stało.

Mojem zdaniem — niepotrzebnie tak długo patrzył pod nogi, klękając; trwało to parę sekund, a w kniei za ten czas różne rzeczy się zdarzyć mogą... Sądzę, że na drugi raz będzie ostrożniejszy i zwierzyny nie spuści z oka.

A wiem, że się wybiera znowu na ósmaka, bo „cwaniak" powrócił już na łąkę po parotygodniowej przerwie i ludzie go znów widują.

Proszę tylko nie życzyć mu szczęścia w tem przedsięwzięciu, bo ten djabli kozioł spewnością ma nowego figla w zapasie, a tym razem gotowa paść koza... a wtedy wstyd...

I kryminał...

JESIENNE NASTROJE...
Efektowne zdjęcie stawu w jednym



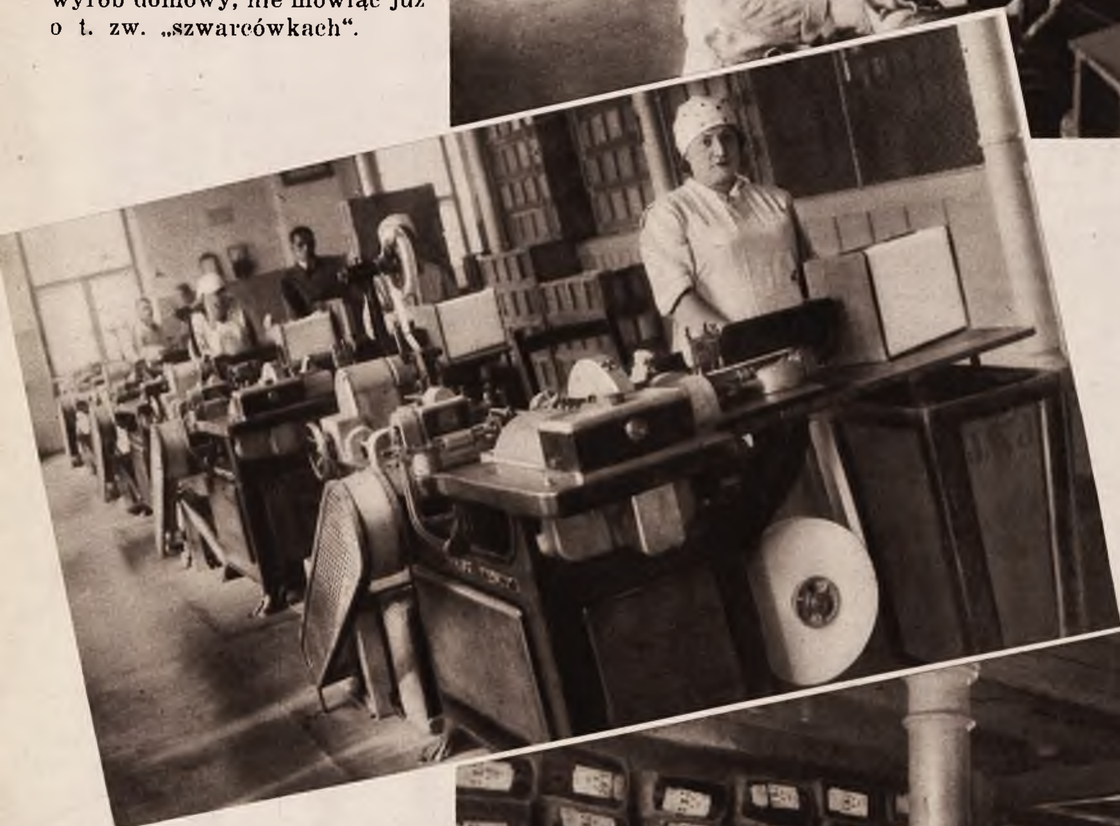
PAPIEROSY, PAPIEROSY...

W dniu 21 bm. w „Ilustrowanym Kuryerze Codziennym“ ukazał się feljeton p. t. „Tam, gdzie się rodzi papieros“ pióra p. Szczerbińskiego. W związku z tym feljetonem fotograf Prasy Polskiej wykonał w krakowskiej wytwórni P. M. T. kilka ciekawych fotografij, które niniejszem Czytelnikom naszym reprodukujemy.

Wszystkie one świadczą dobitnie, w jakich dobrych warunkach higjenicznych i czystości odbywa się fabrykacja papierosów P. M. T. i jak dalece wyroby te przewyższają wyrób domowy, nie mówiąc już o t. zw. „szwarcówkach“.



Fabrykacja papierosów bezustnikowych. Maszyny same szyją obsłanki, zadrukowują je, wypełniają tytoniem, poczem inne maszyny pakują gotowe papierosy w pudełka. Ręce ludzkie tylko gotowe pudełka pakują w większej ilości do osobnych pakietów.



Poniżej:
Magazyn surowca, z którego według pewnych przepisów sporządza się mieszankę do papierosów. Surowiec znajduje się w dokładnie obszytych płótnem belach i jest ściśle oznaczony według klasyfikacji i przeznaczenia.

Powyżej:
Gilziarnia. Maszyny produkujące gilzy, które bez dotyku rąk ludzkich przechodzą do t. zw. napychaczek, skąd po automatycznem nabijaniu tytoniem i zapakowaniu przechodzą do magazynu.



Dzieci szczęścia

Tłumaczenie autoryzowane Julji Rylskiej.

6-ty ODCINEK.

J. KESSEL
POWIEŚĆ
ILUSTR. A. ŻMUDA.

W tej chwili dopiero Roberta zrozumiała, jaka rola przypada w jej życiu tym dwom czarnym kitlom, obciągającym herkuliczne torsy. I uspokojona już całkiem, zapytała:

— Przychodzicie panowie zabrać zajęte meble — prawda?

— Ano, trzeba...

— Ależ proszę. — Nie będę panom przeszkadzała. Usunę się do łazienki.

W pracowni, którą zamieszkiwała Roberta, nie było dużo sprzętów. Ściany, o gorącym, miękkim tonie — wytworne boiserje — lustra i na kolosalnem oknie olbrzymia ciemna kotara z grubego aksamitu (w tej chwili jeszsze zaciągnięta i tamująca światło dnia, który się już miał ku schyłkowi) składały się w głównej mierze na jej umeblowanie. Umyślną tę nagość mieszkania ożywiały i nadawały jej wdzięku, tu piękny wazon — tu kawał perskiej tkaniny i ten nimb przyćmionego światła, biegnący wokoło sufitu — światła, które rozproszone, sypało z ukrycia złoty pył mętnego blasku.

Kotara pierwsza padła ofiarą posługaczy. Bowiem ludzie ci, prości, czuli się jakoś nieswojo w tej sztucznej nocy. Poczem zabrali się do luster. Siedząc na brzegu wanny, Roberta słuchała obojętnie odgłosu ich kroków i ruchów.

— Proszę pani, zabieramy wielką otomanę — krzyknął jeden z nich. — Pan Dernain przykazał nam ją specjalnie. Ta mniejsza wystarczy pani, skoro pani mieszka sama.

— Mają panowie rację — odrzekła Roberta, a w duchu dodała dla siebie: „a ja satysfakcję, że żyję w cnocie".

Usposobienie jej było zawsze równe; i w tej chwili nie brawowała bynajmniej; zachowała tylko całkowitą swobodę myśli. Trudno jej było jeszcze rozbudzić się zupełnie. Machinalnie zaczęła nakładać na wargi czerwoną pomadkę. Lecz, kiedy posłyszała łoskot rzucanych brutalną ręką na dno paki książek, brwi jej ściągnęły się. Książki te, po większej części, podarował jej Le Droz. Wiele z nich nosiło dedykacje, które dla niej od autorów uzyskał. Prowadzili długie rozmowy na ich temat. To, co było najlepszego w ich pożyciu wspólnem, to była właśnie ta przesiąknięta intelektualizmem atmosfera — ten nastrój poważny i ciepły zarazem — a materjalnym jej przejawem było to umiłowanie książek — pięknych i rzadkich wydań.

Postąpiła ku pracowni. Lecz ludzie zabijali już wieko skrzyni. — Opór? — Żebranina o łaskę? — I poco? — Czy nie lepiej pozwolić, by życie unosiło precz wspomnienia, które już nie odpowiadają całkowicie uczuciom? Sama nie zrobiła nic, żeby znikły — należało więc przyjąć to, co się działo, jako zamknięcie etapu — kres — położenie znaku granicznego.

Takie były myśli Roberty, bowiem od Le Droza nauczyła się raczej patrzeć na wypadki od strony ich harmonijnych wartości i siły fatalnej, której były przejawem — niż boleć nad ich okrucieństwem. Wrodzone skłonności ułatwiły jej dojście do tej mądrości.

— Skończyliśmy — oświadczyli posługacze. Dowidzenia pani.

— Proszę poczekać — zawołała Roberta.

Patrzyli na nią zdumieni, podczas gdy przewracała w szufladzie, — w torebce jednej i drugiej — i kiedy wreszcie podała im kilka pięcio-frankowych papierków.

— Co za szczęście! — szepnęła. — Myślałam, że nie mam już ani jednego sou...

Za drzwiami jeden z posługaczy podrapał się po głowie i rzekł:

— Myślałby kto, że jej to przyjemność zrobiło...

— Wiesz — zauważył drugi — ci bogaci... My, to nie zrozumiemy ich nigdy...

* * *

Roberta otworzyła olbrzymie okno, wyszła na balkon i oparła się o balustradę. Za nią, w pokoju, pozostała tylko wąska otomana, niski stoliczek i fotel — porozstawiane bez najmniejszego ładu i składu. Pracownia także straciła nagle wszelki swój sens. Lecz Roberta czuła, jak pod jej ramieniem kamień balustrady, na który słońce operowało przez dzień cały, pulsował, jakby jakiemś ciepłem tajemniczem życiem; patrzyła na rzekę, na mosty na niej i galary — na jej brzegi i na drzewa, które je ocieniały; wciągała w płuca oddech lata, złagodniały pod wieczór jakby litością zdjęty nad mdlejącem od spiekoty miastem. Młodość — zdrowie, które krążyło w niej, jak w giętkiej łodydze rośliny — ta łaska bez ceny, którą przy urodzeniu obdarował ją los, że była zdolną przywiązać się naprawdę i jedynie tylko do chwili, która dziś jest, a jutro jej niema — pozwalały jej objąć całe bogactwo tej nieporównanej, pełnej obietnic chwili, kiedy to wieczór cicho na miasto schodzi.

Obrócona tyłem do obrazu spustoszenia, jakie przedstawiało mieszkanie, zawieszona nad przepaścią, na dnie której widniała poplątana sieć gałęzi — drżała połyskliwie rzeka — strzelały błyskawicami polerowane nikle pojazdów i dyszał parą zlany wodą asfalt, Roberta nie myślała o niczem. Miała uczucie, jakby przebiegały w jej wnętrzu jakieś wartkie tajemnicze prądy — widziała wzgórza tchnące świeżością — cieszyła się radością zielonych łąk.

Znajomi, przybyli do Paryża na dni kilka z Wogezów, błagali ją co wieczór (bo nie mogli dość nacieszyć się nią!), by pojechała z nimi na wieś i by pozostała tam, jak długo się jej spodoba.

Wyjeżdżali dziś, za kilka godzin. Przed Robertą stała więc perspektywa lata spokojnego i strojnego w kwiaty. A potem... Lecz, czyż rozumnie można się kusić, by przewidzieć, co stanie się za dwa miesiące?..

Przechodząc do łazienki, Roberta nie zwróciła zupełnie uwagi na pustkę, którą świeciła pracownia. Wzięła tusz i zajęła się bardzo uważnie swą twarzą; bowiem, na zmęczonych nieco rysach, nie tak łatwo utrzymać jest miarę w użyciu szminek. Skończywszy, spakowała kuferek, wypchała starą ręczną torebkę listami i papierami, poczem skierowała się do telefonu, by zadzwonić do owych znajomych. Lecz przypomniała sobie wczas, że aparat jej nie funkcjonował, ponieważ nie zapłaciła abonamentu.

Włożyła płaszcz i zeszła do stróżki.

— Proszę kazać znieść moje rzeczy — rzekła. — Jeżeli nie doniosę pani, że zatrzymuję nadal mieszkanie, to proszę, niech pani zabierze sobie meble, które jeszcze zostały.

— Bardzo mi przykro, pani Elven, że znalazła się pani w tem położeniu — westchnęła gruba baba.

Mówiła to szczerze. Lubiła Robertę naprawdę — nietylko za jej szczodrość. Roberta uśmiechnęła się do niej; słowa stróżki sprawiły jej prawdziwą przyjemność. Zawsze i przedewszystkiem potrzebnem jej było to uczucie, że życzliwość ludzka idzie w ślad za nią.

— Niech pani się nie martwi — odpowiedziała. — Czuję się całkiem szczęśliwa.

— Dlatego właśnie straszno mi, kiedy patrzę na panią...

Roberta przyjechała za wcześnie do hotelu na Polach Elizejskich. Znajomi jej, państwo Aumont, wyszli i mieli



Bardzo mi przykro, pani Elven — westchnęła gruba baba.

wrócić dopiero, by wyruszyć na kolej z hotelu.

— To doskonale, — rzekła Roberta do portjera, choć głód doskwierał jej, a nie miał na zpłacenie obiadu. — Proszę, niech pan przechowa moje rzeczy — poczekam.

— W salonie czy na dole w barze?

Obliczyła szybko w myśli, że miała jeszcze dość pieniędzy, by pozwolić sobie na bułkę z szynką — i oświadczyła, że poczega w barze.

Bar ten nie cieszył się bardzo dobrą opinją. Roberta wiedziała o tem; lecz wzgląd to był za błahy wobec głodu, jaki czuła. Zeszedłszy do podziemia, wybrała stolik w kącie prawie pustej, tylnej salki. I kiedy przyniesiono jej, tak, jak zażądała, grubą bułkę, dobrze przypieczoną i przełożoną apetycznym płatem szynki, zapomniała o wszystkiem, co ją otaczało.

Dopiero, kiedy zaspokoiła z grubsza głód, do uszu jej poczęły dochodzić odgłosy z głównej sali, ta charakterystyczna symfonja lokali, w których się pije. A więc: brzęk szkła — chrzęst lodu, obijającego się o ściany magicznego kubka, potrząsanego rękami barmana — strzęp melodji tanecznej, uwolnionej na chwilę z czarnego potrzasku gramofonowej płyty — zmięszany chór męskich i kobiecych głosów, dający jednocześnie złudzenie rozgwaru pauzy na podwórzu szkolnem i piskliwego jazgotu olbrzymiej ptaszarni.

Nagle uprzytomniła sobie, że te paryskie podziemne jamy (na myśl o których, w Casablance, doznawała wprost olśnienia!) męczyły ją już. Wyczerpała wszystkie ich rozkosze w towarzystwie Le Droza, a później w towarzystwie znajomych, jeszcze z panieńskich swych czasów. Powietrze wiejskie, na które jutro już miały się otworzyć pory jej ciała, wydało się jej najistotniejszem z dobrodziejstw i najsłodszym z trunków. Lecz w pewnej chwili doleciał ją jakiś bezczelny i dziecinny zarazem głos i zatamował bieg jej myśli.

— Ladies and gentlemen! — mówił ów głos. — Mam zamiar ukoić dziś pragnienie. — A pragnienie moje, zaiste, jest wielkie! — Jules, barmanie mój bieluśki, dajże mi wody święconej! — (Ale nie mieszaj do niej sodowej, przyjacielu!) — Ladies and gentlemen! Szczęśliwy jestem, że was widzę — bo życie jest piękne... Tak! Piękne jest życie, zaiste!

Roberta zerwała się, lecz filar na środku sali zasłaniał jej mowcę. Bezwiednie okrążyła ów filar.

— Ladies and gentlemen! — ciągnął obok młody, dźwięczny głos dalej. — Gorąco jest i pić się chce! (Jules, daj mi drugą porcję święconej!) — więc pozwólcie, proszę, iż obnażę nieco grzeszne me ciało.

Zabrzmiał chór protestów z jednej strony, a prowokacji z drugiej. Roberta, stanąwszy w progu, zobaczyła Ivana Vivant, we własnej osobie. Stał na krześle i za całą toaletę miał na sobie krótkie spodenki do footbalu. Nagle ujął wygimnastykowanemi palcami prawej nogi najbliżej stojący na stole kieliszek, podrzucił go do wysokości ręki i pochwycił w nią, nie uroniwszy ani kropelki trunku; drugą ręką włożył po papierosie do każdej dziurki od nosa, zapalił i zawołał:

— Na zdrowie przyjaciół — i barmana! Niech żyje i kredytuje nam dalej!

Do wszystkich kobiet, obecnych w barze, do wszystkich mężczyzn, śmiały się jego skośne chińskie oczy — błyszczały jak ziarnka dżetu jego źrenice. Zaledwie znał z widzenia otaczających go ludzi, lecz w tej chwili rozpierał go tak niesłychany, tak szalony przypływ sympatji do nich, że potrafił wykrzesać to samo uczucie w obecnych. Znalazło ono wyraz w zupełnem rozgrzeszeniu, jakiem darzyli go za wszystko, co już uczynił — i co zdolnym był jeszcze uczynić.

Lecz Ivan nagle wypuścił kieliszek z ręki, a papierosy z nosa i krzyknął:

— Roberta!!

I zanim zdołała się cofnąć, w trzech susach (którym za podstawę posłużyły, kolejno napotkane po drodze: oparcie fotela — stół — i czyjeś ramię), był już przy niej. Pochwycił i zaczął ściskać jej ręce, ramiona, wykrzykując z triumfem:

— Tak — tak, poznałem ją przecież! — To Roberta! — Tak, a oni twierdzą, że jestem pijany! — Nie chcesz mnie pocałować? — Gniewasz się na mnie?

Roberta była jak na mękach pod ogniem spojrzeń i gradem dowcipów, w których prześcigali się obecni. Wreszcie szepnęła:

— Na litość Boską — ubierzże się!

— Poco? Przecież to sami znajomi! — Ale, jeżeli ci to ma zrobić przyjemność... No, wiecie! Co za spotkanie! — To cudowne! — Życie jest piękne! — Ludwik, podaj mi moje rzeczy.

Przez otaczający ich krąg gapiów, począł się przeciskać z trudem okrągły krępy człowieczek; w wyciągniętych ponad głową rękach niósł ubranie i trzewiki Ivana.

— Dzieńdobry, pani Roberto! — wyrzekł. — Nie poznaje mnie pani?

— Courdoneau!

— Mój sekretarz — przedstawiał Vivant, ubierając się z szybkością klowna-transformatora.

— Ale nie na długo już...

— Będziesz jeszcze żałował — wątrobo cielęca! — Jeszcze słowo, a podetnę ci spodnie.

— Czy pani da wiarę, pani Roberto? — Nie dalej jak wczoraj zrobił to ze mną. I to w restauracji pełnej ludzi!

— Chcesz Roberto? Możesz mieć zaraz taki spektakl.

— Wyjdźmy stąd, Ivan! — W głowie mi się kręci — poczęła błagać.

— No, Ludwik — na pełnym gazie!

I Vivant skoczył na ramiona grubego mechanika, każąc mu się nieść do windy. Była właśnie gdzieś na górnych piętrach, lecz Ivan, pomajstrowawszy coś przy drzwiczkach, zdołał je otworzyć i po kratach, otaczających klatkę, zaczął się wspinać. Wylądował na parterze lokalu w chwili, kiedy, schodząc z góry, winda prawie już waliła się nań całym swym ciężarem.

— Ja już nie mogę tak! — jęknął Courdoneau. — Wolę pustynię, wolę suchy chleb i wodę — wszystko! Na codzień, gorzej mam tutaj, niż miałem w najgorętsze dnie w Marokku!

Vivant zbliżył do nich swą twarz — brudną i świecącą smarem po akrobacjach w klatce windy — lecz jakąś złagodniałą teraz na wspomnienie Afryki.

— To były czasy! — A kapitan — co za chłop! Co za serce! — Będziemy dziś pili na jego zdrowie przez cały wieczór.

— Ależ ja nie mogę! — zawołała Roberta. — Za godzinę wyjeżdżam w Wogezy.

— A, nie! — Nie zrobisz mi tego! — Jutro, to co innego — ale dziś, nie masz prawa!

Mówiąc tak Vivant nie myślał zgoła o owym wieczorze, kiedy to Roberta opuściła go w tak nieoczekiwany sposób; lecz młodej kobiecie wydało się, że Ivan do niego robi aluzję — i poczuła się w jego mocy. Już sama radość, jaką okazał, kiedy odnaleźli się, była czemś wiążącem... Te oczy dziecka, pijanego kipiącem w niem życiem — ta rozbrajająca ufność, dla której nie istniały żadne przeszkody — czyniły rzeczywiście wszystko możliwem i łatwem...

— Proszę kazać zanieść moje walizy do taksówki — rzekła Roberta do portjera.

— Do taksówki?! — zawołał Vivant. — Ależ, moja droga, ja mam auto! — No dalej — chodźmy.

— Muszę dać znać, żeby nie czekali na mnie...

— Ty, to nigdy nie będziesz miała oleju w głowie! Jak nie będą wiedzieli, co się z tobą stało, to może poczekają do jutra.

Argument ten wydał się słusznym Robercie.

(C. d. n.)

PANI MOŻE BYĆ

czarującą i młodą, jeżeli...



Nina Grudzińska *Fot. Bil — Warszawa.*

Jeżeli istnieje stuprocentowa współczesna kobieta, to Nina Grudzińska może śmiało sięgnąć po palmę pierwszeństwa. Ta piękna bowiem o fascynujących szaro-zielonych oczach brunetka, obdarzona jest bodaj-że wszystkiemi walorami, które w myśl dzisiejszych wskazań powinny zdobić kobietę XX wieku.

Pani Nina jest śpiewaczką operową, mającą w swym reperutarze Carmenę, co jej jednakże nie przeszkadza zbierać laury i w operetce, jak ostatnio w „Krainie uśmiechu" i „Hr. Luksemburgu". Poza tem próbowała też pani Nina swych sił z dużem powodzeniem i na filmie, a jako niezwykle szykowna i elegancka kobieta, dzierżyła w jednym z ostatnich sezonów berło „Królowej Mody". Uprawia wszystkie niemal sporty, poluje, jest mistrzynią miasta Warszawy w strzelaniu, projektuje sobie kostjumy i toalety na scenę, a ubiera się niezwykle efektownie, jest przemiłą panią domu i dobrą gosposią, zna się świetnie na kuchni i gospodarstwie domowem. A przytem wszystkiem pełna ujmującego wdzięku i czaru kobiecego, jedna sobie serca wszystkich swą uprzejmością i zaletami towarzyskiemi.

Przyznam się szczerze, że znając p. Grudzińską tylko ze sceny, wyobrażałam ją sobie w życiu jako jakiegoś krwiożerczego wampa. A gdy w dodatku znalazłam się w jej mieszkaniu i zobaczyłam liczne głowy różnych dzikich bestji, zdobiące ściany hallu a pomordowane jej własną rączką, te dziki, jelenie karpackie z metrowemi rogami, rogacze, kozły, głuszcze i cietrzewie, a wszystko w wieńcu mnóstwa odznak i medali zdobytych w zawodach strzeleckich, uczułam się trochę nieswojo.

— Hm... — pomyślałam — właściwie z taką kobietą to należałoby zrobić wywiad raczej na temat ankiety: „Mój najdramatyczniejszy moment w życiu".

Ale gdy w następnej chwili weszła pani Nina, taka bardzo prosta i kobieca, i wprowadziła mnie do swego buduaru, zasłanego olbrzymią skórą białego niedźwiedzia, pełnego kwiecia i artystycznych drobiazgów, uznałam, że mam przed sobą jedynie stuprocentową, uroczą kobietę.

— Co kobietę czyni czarującą i młodą? — podjęła p. Nina pytanie ankiety. Według mnie, tylko ruch, sport, bogactwo wrażeń i zainteresowań życiowych. W każdą czynność, pracę czy rozrywkę wkładać należy całą duszę, chłonąć w siebie każdą radość, piękno, dźwięk. Nic tak nie postarza kobiety i nie przytępia jej wdzięków, jak nuda, która pozbawia twarz świeżości a oczy blasku.

Toteż ja gardzę nudą i bezczynnością. Scena daje mi dużą satysfakcję i pole do wyładowania się, a poza tem z pasją uprawiam sporty, poluję i podróżuję. Ale wszystko co robię, robię z przejęciem się i z całem oddaniem. Nawet, gdy przyprawiam tartinki dla moich gości, to pomiędzy pokładem szynki a masła, napewno znajdzie się i mała warstewka mej duszy. Kocham życie a życie kocha mnie — zakończyła p. Nina.

W trakcie rozmowy przechodzimy do pokoju, urządzonego w guście oryginalnego namiotu wschodniego. Ściany, podłoga i sufit zawieszone szczelnie dywanami i makatami. Niskie wygodne kanapy i stoliki...

A może właśnie to tu, w tej atmosferze tajemniczego Wschodu, urocza pani Nina zmienia się w demonicznego wampa, czyhającego na swe ofiary? Kto wie? Wszystko możliwe! W tych stu procentach nowoczesnej kobiety znajdzie się i dla wampa kilka odsetek.

★ ★ ★

Pani Janina Macherska, znana artystka TKKT, aczkolwiek jest bardzo nowoczesną kobietą, cieszącą się opinją jednej z najelegantszych Warszawianek, poza tem właścicielka nieskazitelnej cery oraz najpiękniejszych pleców w stolicy, jak to osądził plebiscyt, pod względem kosmetyki hołduje receptom i zabiegom, przekazywanym w jej rodzinie z pokolenia na pokolenie.

— Piękna cera w naszej rodzinie, to coś

(Dokończenie na str. 31-ej).



Janina Macherska. *Fot. Brzozowski — Warszawa.*

M. M. DUDREWICZOWA



ZROBIĘ TO SAMA...

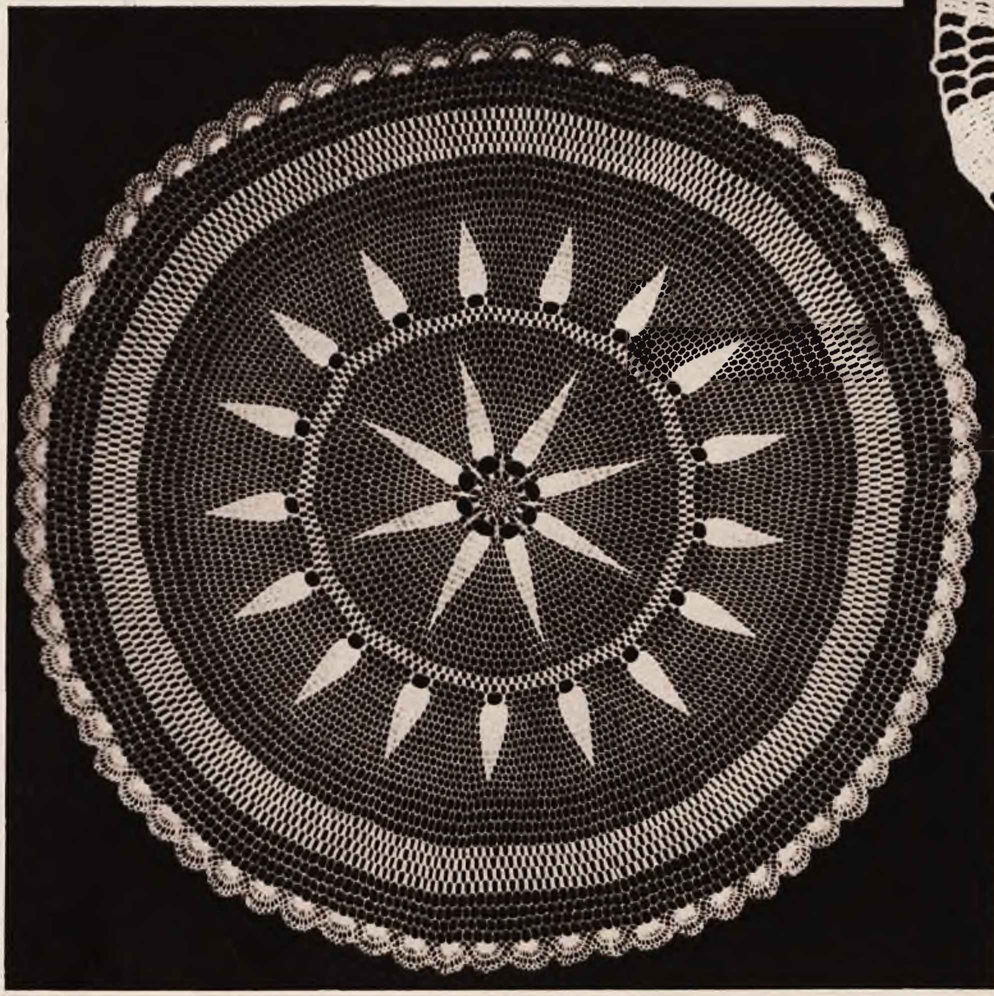
NOWE • SERWETKI • SZYDEŁKOWE





W dzisiejszej metodycznej lekcji opisuję serwetę o 125 cm średnicy. Wzór ten łatwy do wykonania, a efektowny. Widzimy w serwecie dwa rodzaje stożków. Jedne są wysokie i smukłe, a drugie niskie grubawe.

W tych smukłych stożkach opuszczamy w jednym rzędzie tylko jeden słupek i tylko z jednego boku. Np. z prawego boku zaczynamy szydełkować, więc wkładamy szydełko odrazu w w drugi słupek na podstawie stożka, która ma 15 słupków i szydełkujemy do końca lewego boku. Zrobimy tak 14 słupków, ale zato w następnym rzędzie z prawej strony nie opuszczamy żadnego słupka, tylko szydełkujemy od początku i dopiero na końcu lewego brzegu opuścimy ostatni słupek. Będziemy więc miały w tym rzędzie 13 słupków. I tak na-



Środek i koronka (w powiększeniu) reprodukowanej obok serwetki.

Na lewo: Opisana metodycznie w artykule okrągła serwetka szydełkowa o średnicy 125 cm.

przemian, w każdym rzędzie mamy o jeden słupek mniej.

Grubawe zaś stożki w wyższem kole różnią się tem, że u podstawy mają po 21 słupków, a w każdym rzędzie po obydwu bokach stożka opuszczamy po jednym słupku.

Serwetę tę zaczynamy szydełkować także od środkowego kółka. Robimy więc 7 oczek na powietrzu i spajamy kółko niskim nienawijanym słupkiem. Następnie znowu 7 oczek na pow. i słupek raz nawijany, wkładając szydełko odrazu w kółko, dalej 3 oczka na pow. i znowu słupek, wkładając szydełko tak samo do środka kółka. Tak szydełkujemy naokoło 8 dziurek, a ostatnią spajamy niskim słupkiem w czwartem oczku pierwszego łańcuszka w tym rzędzie.

Teraz musimy dostać się na środek

dziurki niewidocznemi słupkami, które opisywałam w poprzednich serwetach. Gdy znajdziemy się na środku pierwszej dziurki, robimy 7 oczek na pow. i niski nienawijany słupek w następnej dziurce. W ten sposób szydełkujemy cały rząd naokoło ząbków łańcuszkowych, po spojeniu których wychodzimy znowu na górę pierwszego ząbka i robimy 5 oczek i słupek trzy razy nawijany, potem 4 oczka i 3 słupki trzy razy nawijane w następnym ząbku łańcuszkowym. Dalej znowu 4 oczka i 2 słupki i tak naokoło naprzemian w jednym ząbku 3 słupki, a w drugim 2, aż otrzymamy 16 grupek słupków.

Po spojeniu koła niewidocznym słupkiem, szydełkujemy 5 oczek na pow. i robimy 2 słupki trzy razy nawijane na tych dwóch słupkach poprzedniego rzędu. Dalej 15 oczek na pow. i znów trzy słupki trzy razy nawijane i tak naokoło. Uważać należy, by środkowy słupek z tych trzech słupków mieścił się między dwoma słupkami poprzedniego rzędu.

Po spojeniu koła zaczynamy szydełkować stożki. Słupki w stożkach są dwa razy nawijane. Pierwsze dziurki zaraz obok stożków mają zawsze trzy oczka na pow. aż do samego wierzchołka stożka, a inne dziurki mają spoczątku także trzy oczka, ale w wyższych rzędach, gdzie obwód koła coraz większy, robimy 4 lub 5 oczek w razie potrzeby. Serweta powinna równo leżeć na stole, nie powinna ani falować się ani rozciągać zanadto. Jako podstawę stożków robimy 15 słupków, obok nich 3 oczka i 2 słupki dwa razy nawijane, między trzema słupkami na górze poprzedniego rzędu. Dalej znów trzy oczka i 15 słupków na następny stożek i tak naokoło. O opuszczaniu słupków w stożkach mówiłam już na początku tego artykułu.

Po ukończeniu stożków szydełkujemy dwa rzędy dziurek, zwykle o 4 oczkach, a słupki są dwa razy nawijane. Następnie dwa rzędy słupków po 3 obok siebie w każdej dziurce. Słupki są dwa razy nawijane, a między grupkami słupków po 3 oczka na pow. Teraz obliczamy, ile mamy dziurek w obwodzie serwety i w jakich odstępach będziemy robiły stożki wyższe, grubawe.

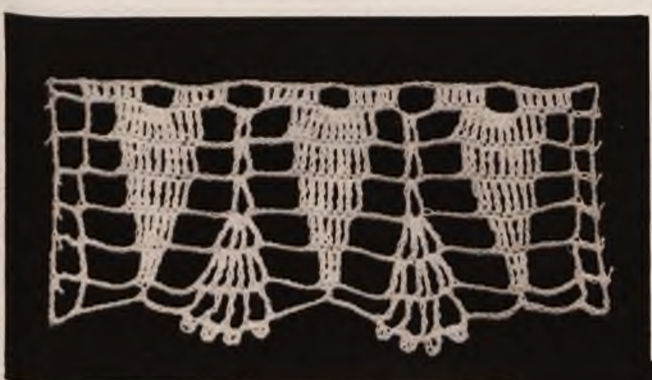
Otóż najpierw musimy przygotować duże ząbki łańcuszkowe po 15 oczek na pow., na których wyszydełkujemy 21 słupków, jako podstawy stożków. Po bokach tych dużych ząbków łańcuszkowych zrobimy po trzy słupki dwa razy nawijane w dziurkach między grupkami słupków poprzedniego rzędu. W środku, pod dużym ząbkiem łańcuszkowym, ma być zostawiona jedna wolna dziurka z poprzedniego rzędu. Między dużemi ząbkami łańcuszkowemi, na których będziemy szydełkować stożki, robimy sześć dziurek po 5 oczek na pow. — Szydełkując potem podstawę stożka (21 słupków) robimy między stożkami 7 dziurek. Pierwsze po bokach stożka mają zawsze po trzy oczka, a następne po 5 oczek. W wyższych zaś rzędach można robić zamiast 5 tylko 4 oczka w dziurkach, by się nie falowały, bo w dalszej robocie w każdym rzędzie przybywa nam jedna dziurka między stożkami.

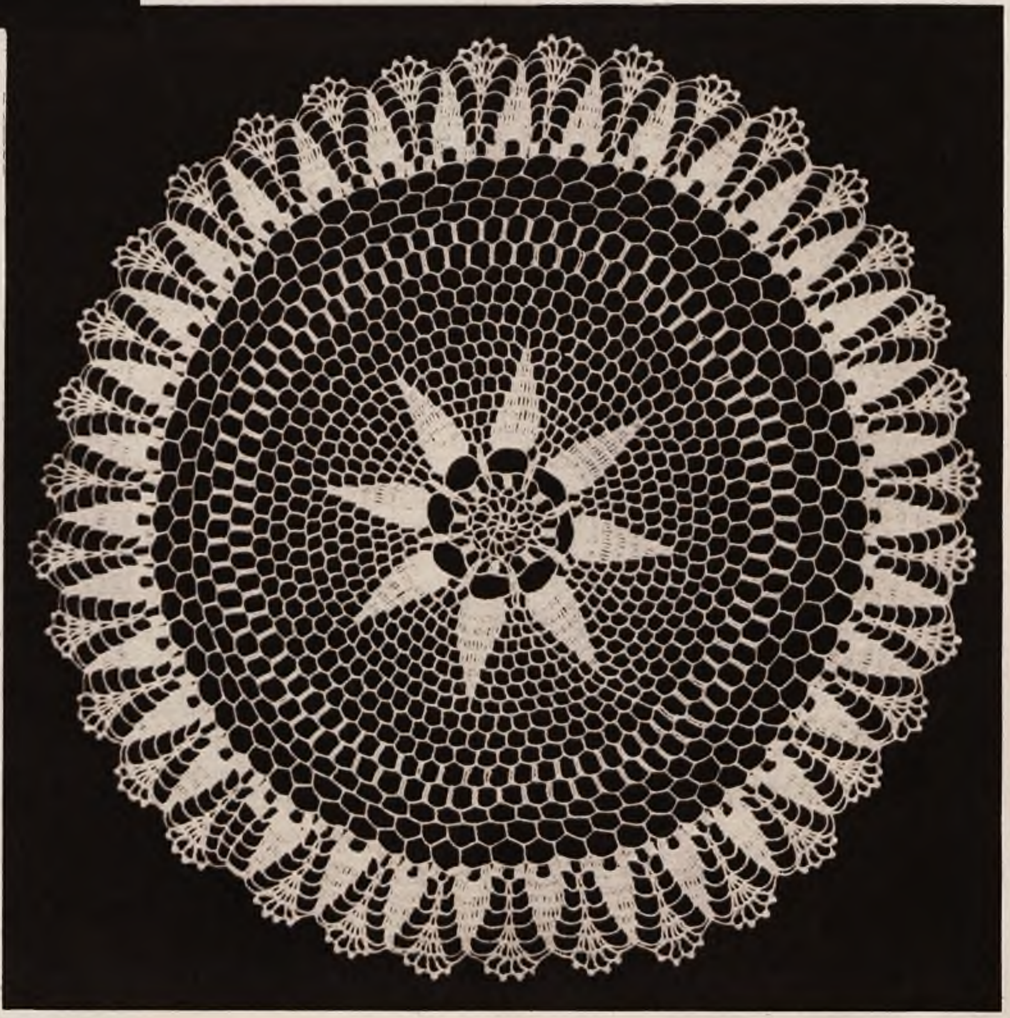
Po ukończeniu stożków nad wierzchołkami robimy jeden rząd dziurek także o 4 oczkach, a słupki dwa razy nawijane. Potem szydełkujemy cztery rzędy dziurek o 4—5 oczkach, o słupkach trzy razy nawijanych, a na tych dziurkach znowu cztery rzędy słupków trzy razy nawijanych i po trzy słupki obok siebie w każdej dziurce. Między grupkami słupków robimy po 3 oczka na pow. Po czterech rzędach słupków następują cztery rzędy samych dziurek o 5 oczkach. Słupki zaś tak samo trzy razy nawijane.

Koronka składa się z czterech rzędów. Pierwszy rząd zaczyna się ze środka dziurki. Po spojeniu więc ostatniego koła należy wyjść słupkami niewidocznemi na środek dziurki i zrobić 7 oczek na pow. i niski słupek nienawijany na środku następnej dziurki. Potem raz na pow. i 11 słupków dwa razy nawijanych w następnej dziurce. Znów raz na pow. i niski słupek na środku następnej dziurki. A dalej dwa ząbki łańcuszkowe o 7 oczkach i znowu raz na pow. i 11 słupków w następnej dziurce. Tak naokoło, aż zakończymy ten rząd ząbkiem łańcuszkowym, bo zaczynając ten rząd, zrobiłyśmy 7 oczek tylko na jeden ząbek łańcuszkowy. Między zaś wachlarzykami w koronce w pierwszym rzędzie widzimy po dwa ząbki łańcuszkowe o 7 oczkach.

W drugim rzędzie koronki robimy także 11 słupków dwa razy nawijanych, ale między niemi po jednym oczku. — Między zaś wachlarzykami będzie już tylko jeden ząbek łańcuszkowy o 7 oczkach. W trzecim rzędzie koronki szydełkujemy tylko 10 słupków, bo wkładamy szydełko w pierwszą dziurkę we wachlarzyku, a między słupkami robimy 2 oczka na pow. Po zrobieniu 10-ciu słupków, szydełkujemy 2 oczka na pow. i niski słupek na środku ząbka łańcuszkowego siedmiooczkowego. Następnie 2 oczka na pow. i tak dalej 10 słupków w drugim wachlarzyku. Ostatni rząd koronki to same ząbki łańcuszkowe o 5 oczkach i niskich słupkach, a pomiędzy wachlarzykami po 2 oczka na powietrzu.

Frócz serwety metodycznie opisanej podaję jeszcze drugą serwetkę mniejszą, tylko z objaśnieniem, bo środek obydwóch serwet jest taki sam. Stożki zaś mają u podstawy po 15 słupków. W stożkach należy opuszczać po jednym słupku z każdego boku. A dla łatwiejszego odrobienia przedstawiam osobno motyw koronki.





Powiększony motyw koronki do reprodukowanej obok serwetki.
Na prawo: Okrągła serwetka szydełkowa na stół, łatwa do wykonania po odrobieniu poprzedniego wzoru.

Życie towarzyskie i artystyczne





Miejski Teatr łódzki wystawił starą, niemniej jednak pierwszorzędną farsę „Ciotkę Karola" pod zmienionym tytułem „Studenci". — Sztuka cieszy się nieustającem powodzeniem dzięki świetnej grze Dagmary Malejówny i Pelagji Relewicz - Ziembińskiej, które widzimy na naszem zdjęciu.



Sławny nasz rodak, Jerzy Garda wystąpił ostatnio z recitalem transmitowanym na szereg stacyj zagranicznych w radjo wiedeńskiem. Miarą powodzenia znakomitego śpiewaka jest rekordowa ilość listów, jakie nadeszły w związku z recitalem. Jerzy Garda po powrocie swoim z Włoch wystąpi z dalszemi audycjami w Wiedniu.

Uciekająca przed popularnością i zmęczona rolą gwiazdy, Greta Garbo ostatnio zawiodła pogłoski, głoszące, że przybędzie na festival do Salzburga. Imieniny swoje, które obchodziła niedawno artystka, spędziła w zamku swych przyjaciół hr. Wachtmeister, nie ukazując się również publiczności oczekującej ją w Stockholmie.



Dobrze warszawskiej i poznańskiej publiczności teatralnej znana ze swej finezyjnej urody, Halina Cieszkowska, zawitała obecnie do Nowego Teatru w Kaliszu, gdzie wystąpiła w sztuce S. Kiedrzyńskiego „Gra sero".

Do najbardziej udanych rzeźb, przedstawiających znanego poetę Emila Zegadłowicza należy bezwątpienia praca W. Bałysa, jednego z najzdolniejszych uczniów prof. Ksawerego Dunikowskiego.





Łamigłówki mody męskiej.



Podczas gdy w Abisynji pora deszczowa właśnie się kończy i otwiera się „season", tak upragniony dla prowadzenia gry wojennej — u nas rozpoczęła się właśnie „piękna polska jesień" — piękna wtedy, kiedy deszcze nie padają. A że „PIM" przepowiada właśnie ciepłą i pogodną porę — należy się zastanowić nad tem, co włożyć na siebie w dni... deszczowe.

Zacznijmy od... parasola. Rekwizyt ten uchodzi u nas za wyraz „zniewieściałości". Prawdziwy „sportowiec", z barami obficie wywatowanemi, wyglądający conajmniej na Jacka Dempsey'a — typy te przeważnie w swojem życiu nigdy nie uprawiały żadnego sportu — uważa niemal za punkt honoru, by deszcz zmoczył go od stóp do głów, poczem dumny, oblocony i pomięty wkracza do kawiarni niczem bohater, wracający z okopów.

Tymczasem Anglicy — a więc naród chyba bardzo wysportowany — bynajmniej nie pogardzają parasolem i noszą go nawet... przy pogodzie, która w Londynie zawsze, a u nas w Polsce na jesień jest kapryśną. Nie polecamy naturalnie parasola do typowo sportowych ubrań. Ale tych wogóle w mieście się nie powinno nosić — o czem nasi „królowie mody" stale zapominają, uważając za najwyższy szyk paradowanie wieczorem w pumpach.

A teraz o... nakryciu głowy. Proszę nie zemdleć: typowym kapeluszem na deszczową pogodę jest — melon. Nosi się go zarówno do płaszczów deszczowych, jak i do raglanów, oraz ulstrów. U nas niestety najczęściej ubierają melony... dorożkarze, albo dygnitarze w czasie uroczystości II. klasy — (na pogrzebach I. klasy występuje się w cylindrze).

„Koloryt" męskiej mody na jesień — wykazuje barwy ciemne, szare, poważne, jak jesień. Dla ubrań salonowych dobierać należy materjały w dyskretne desenie, przeważnie w szeroko rozstawione cienkie, białe pasy. Dla ubrań sportowych modne są nadal wszelkiego rodzaju materjały „sportex", oraz samodziały rzadko tkane, ostatnio szczególnie popularne. Tutaj można stosować jaśniejsze kolory — jasno-bronzowe, beżowe i szare we wszystkich odcieniach, bo te zawsze są na miejscu. Wzory przy ubraniach sportowych powinny być spokojne. Naprawdę dobrze ubrany mężczyzna nigdy nie wyszuka sobie materjału, którymby swemi jaskrawemi kolorami „krzyczał o pomstę do nieba".



Dodajmy, że jednokolorowe ubrania flanelowe, przeważnie popielate, ale ciemne, doskonale nadają się na jesień.

Fason i krój ubrań marynarkowych nie wykazuja zasadniczo większych zmian. Marynarki, zarówno jedno, jak i dwurzędowe, są nieco dłuższe. Linja stanu trochę podwyższona — co jeszcze bardziej wydłuża marynarkę.

Rewolucji w modzie męskiej spodziewamy się dopiero... na zimę. A może to będzie tak, jak z tą wojną abisyńską, którą wszyscy przepowiadają, a która ani rusz nie wybucha?

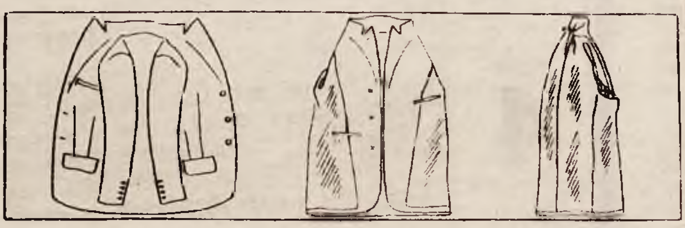
Yes.



Na prawo: „New-York Fashion" demonstruje na sezon jesienny te dwa modele ubrań marynarkowych, które w porównaniu do poprzednich fasonów odznaczają się nieco wyższym stanem, bardziej wydłużoną linją samych marynarek, niżej opadającym kołnierzem (dwurzędowe), oraz nieco wyżej pod kołnierz podchodzącą kamizelką (jednorzędowe).



Na lewo: Do ulstra nosić się będzie miękkie kapelusze tylko w bardzo ciemnych kolorach.



Powyżej: Przechowywanie ubrań letnich przez zimę w kufrach — to nie bylejaki problem, jeśli się zważy, że nie każdego stać na zawieszenie wszystkich garniturów na wieszadłach i okrycie ich torbami przeciwmolowemi. Chowając do kufra marynarkę, należy ją starannie złożyć wedle podanego wyżej wzoru, by nie uległa znacznemu pomięciu.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

SOS A LA DIABLE. Sporo jarzyn, dużą cebulę i parę listków estragonu zesiekać, udusić na maśle i przetrzeć przez sito. Z łyżki masła i tyleż mąki zrobić rumianą zasmażkę, zalać zimnym rosołem, włożyć przefasowaną jarzynę, listek bobkowy i parę ziarn angielskiego czarnego pieprzu, dodać szklankę czerwonego wina i łyżeczkę papryki oraz szczyptę soli i cukru. Gotować jeszcze pół godziny. Przed wydaniem wyjąć listki i ziarnka pieprzu. Sos ten stosuje się do mięs ciemnych i zwierzyny. Powinien być ostry.

ZUPA NEAPOLITAŃSKA. Do rosołu, nagotowanego z kości wołowych, dodać jasną zasmażkę z łyżki mąki i masła oraz 4 dkg tartego parmezanu. Rozetrzeć ,aby grudek nie było, zagotować i gotującą zupę wlać na 2—3 żółtek roztartych w wazie. Dodatek cienki makaron włoski, osobno ugotowany.

BIAŁA RYBA W SOSIE KOPROWYM. Oczyszczoną rybę kraje się w dzwonka i gotuje w słonej wodzie z kawałkiem selera i pietruszki. Gotować się powinna na kraju blachy, powoli, aby się nie rozpadła. Osobno robi się jasną zasmażkę z łyżki masła i mąki, zalewa ją wystudzonym rosołem z pod ryby, dodaje 3—4 łyżek gęstej kwaśnej śmietany, łyżkę siekanego kopru i odrobinę cukru, podgotowuje szybko i wylewa na rybę, ułożoną na ogrzanej salaterce. Dodatek: ryż lub krokiety z bułki. Sos ma być zawiesisty.

PIECZEŃ CIELĘCA W MAJONEZIE. Z około dwu kilogramowego kawałka dyszka cielęcego wyjąć kości; te ostatnie porąbać i nastawić z jarzynami i korzeniami oraz lekkim octem do gotowania. W międzyczasie przygotować mięso, mianowicie rozbić je na płasko ostrożnie, aby nie poprzerywać, posmarować masłem sardelowem, zwinąć w rulon i owiązać szpagatem. Wygotowany bajc odlać z kości i jarzyn, zagotować i włożyć do gotującego przygotowane mięso. Gotować dwie godziny, odwracając, aby sie równo gotowało, następnie odstawić naczynie z zawartością do wystudzenia przez noc. Wyjęte z bajcu mięso, kraje się w plastry i pokrywa majonezem: 2 twarde i 1 surowe żółtko utrzeć z dolewaną kroplami oliwą, której ma wyjść 1/4 litra. Do utartego, gęstego majonezu wcisnąć sok z 2 cytryn i wmięszać 5 dkg oczyszczonych sardelek, przetartych przez sitko, oraz łyżkę kaparków. Solą, cukrem i białym pieprzem dorabia się smak. O ile majonez za gęsty, a powinien mieć gęstość śmietany, rozprowadza się go troszką bajcu. Bajc silnie ugotowany i oczyszczony białkiem, może służyć jako auszpik do ubrania półmiska, wraz z płatkami cytryny i piklami.

PRZYSTAWKA Z KIEŁBASY I SZPINAKU. Grubą, t. zw. paryską kiełbasę wyciera się po umyciu do sucha i nie obierając z łupki, kraje na półcentymetrowe plastry. Na patelce rozpala się masło lub smalec i smaży plastry z jednej strony. W gorącym tłuszczu ściąga się łupka tak, że z plastrów tworzą się miseczki, których część napełnia się jajecznicą, część zaś osobno przygotowanym gęstym szpinakiem. Kiełbasiane miseczki ustawia się na półmisku na krokietach z puree ziemniaczanego.

KOMPOT Z GRUSZEK W OCCIE. 3 kg twardych gruszek, t. zw. cukrówek, ołupać, przekroić, wydrążyć z twardych ośrodków i rzucać na syrop przygotowany wedle przepisu podanego do śliwek. Gruszki gotować się muszą w syropie aż się staną przeźroczyste, wtedy się je wyjmuje po jednej, układa w słoju, a syrop gotuje się dalej aż zupełnie zgęstnieje. Gorącym zalewa się gruszki i zawiązuje zaraz pergaminowym papierem namoczonym w alkoholu, owija ciepłym szalem aż do wystudzenia.

KOMPOT Z KAWONA. Gruba łupka kawona, obrana z zielonej skórki, przygotowana w ten sam sposób jaki podano przy kompocie z gruszek — nadaje się na doskonały kompot. Różnica jest jedynie w tem, że kawon pokrajany w kawałki gotuje się naprzód w zakwaszonej octem wodzie, potom dopiero dogotowuje się w syropie.

ŚLIWKI W OCCIE. Dwa litry winnego silnego octu gotuje się z 1. kg cukru na gęsty syrop. Wśród gotowania dodaje się do syropu: sok z 1. cytryny i skórkę cienko pokrajaną, parę liści bobkowych, 6 goździków, 1 dkg cynamonu, 1 dkg angielskiego ziela i tyleż imbiru. W dużym słoju ogórkowym układa się wybrane świeże śliwki węgierki, opłukane wystudzoną, przegotowaną wodą, lecz nie obcierane z nalotu woskowego. Śliwki w słoju zalewa się zimnym syropem, zawiązuje pergaminowym papierem i odstawia w chłodne miejsce. Zwykle trzyma się ten kompot przez całą zimę doskonale, gdyby jednak sok zmętniał (zależy dużo od octu) należy go odlać, przegotować, wystudzić i wlać napowrót na śliwki. Korzenie należy odrzucić.

Sc. Ko.

UNIWERSALNA MASZYNKA DO KRAJANIA.

Dużo kłopotu w gospodarstwie domowem sprawia krajanie chleba, wędlin, sera itd. Sprawianie osobnych przyrządów jest kosztowne, a poszczególne przedmioty zajmują dużo miejsca, co bywa kłopotliwe w szczupłych mieszkaniach. Uniwersalna maszynka do krajania pieczywa, zimnych mięs, serów itd. spełnia precyzyjnie swe zadanie i jest wielce pomocną w gospodarstwie domowem.



7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat. i żyd.	Tydzień 40 — WRZESIEŃ-PAŹDZIERNIK — Dni 30—31
Niedziela 29 — *Michała Arch.* 2 Tisz. 2 Ś. N. R.	Rosoł ragout z drobiu. Wątróbka cielęca duszona w całości z ryżem. Indyczka z kompotem mieszanym. Tutki cukrowe z bitą śmietaną. — Kolacja: Pieczeń cielęca w majonezie.
Poniedziałek 30 — Jana z Dukli 3 Tisz. Post Ged.	Zupa "Julienne". Sztuka mięsa z chrzanem zapiekana. Kurczęta w sosie fricasse z kluseczkami. Kompot z gruszek. Kolacja: Miseczki kiełbasiane z szpinakiem.
Wtorek 1 — Remigiusza, Dan. 4 Tiszri	Zupa ogórkowa. Kapusta włoska z baranina i pomidorami. Stek cielęcy garnirowany. Krem brulee. Kolacja: Słony tort.
Środa 2 — Aniołów Str. 5 Tiszri	Zupa pomidorowa czysta. Omlety,z pieczarkami lub innemi grzybami. Pieczen zajęcza duszona z makaronem. Placek kruchy z śliwkami Kolacja: Pasztet z zająca.
Czwartek 3 — Teresy z Lisieux 6 Tiszri	Zupa z zielonego groszku z płątkami. Kotlety z włoskiej kapusty i grzybow, z serem grzybowym. Kwiczoły w słonince z kompotem bruszwicowym. Strudel z jabłkami. Kolacja: Knedelki parzone z śliwkami.
Piątek 4 — Franciszka Seraf. 7 Tiszri	Zupa rybna z kluseczkami. Pierożki z słodką kapustą. Biała ryba w sosie koprowym z ziemniaczkami lub makaronem. Jabłka w cieście smażone. Kolacja: Jaja sadzone w szpinaku.
Sobota 5 — Placydy [illegible] Tiszri	Zupa kalafiorowa. Płucka cielęce zapiekane z sosem cytrynowym lub beszamelem. Bitki w śmietanie z kaszką krakowską. Krem z winogronami. Kolacja: Parówki z chrzanem.

HOCKI-KLOCKI



Gdy dyktator mody cierpi na ból zębów...

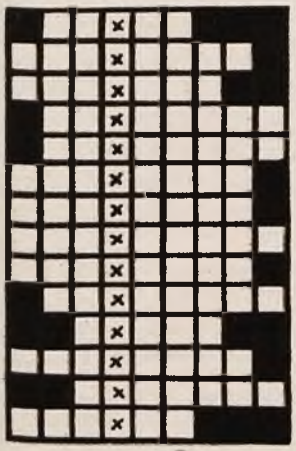
DROBNE NIEPOROZUMIENIA.



ŻONA: Naprawdę, że się zbyt przejmujesz, każdy drobiazg cię rani! *(„Ric et Rac")*

LOGOGRYF GEOGRAFICZNY.

Ułożył J. Piękniewski, Łódź.



Znaczenie wyrazów.

1. Miasto w Chinach.
2. Rzeka w Ameryce płn
3. „ w Ameryce płd.
4. Wyspa na oceanie Ind.
5. Jezioro w Ameryce płd.
6. Kanał łączący Atlantycki Ocean z Wielkim.
7. Portowe miasto w Chinach.
8. Miasto w Holandji.
9. Kanał łączący morze Egejskie z Jońskiem.
10. Miasto w Chinach.
11. Półwysep w Azji.
12. Miasto w Afryce płn.
13. Wyspa na morzu Śródziemnem.
14. Stolica Estonji.

Powyższy logogryf pozwoli naszym Czytelnikom popisać się znajomością geografji, tak potrzebnej obecnie do zorjentowania się w sytuacji politycznej.

REBUS.

Ułożył Edward Kułynia — Opatów.



Zamieszczony powyżej rebus da nam po rozwiązaniu zdanie, odnoszące się do nazwy naszego Magazynu.

Dokończenie ze str. 5-ej.

Kirchmajer, którego syn Wincenty należał do najbogatszych ludzi w Krakowie.

Lecz światek kupiecki Krakowa coraz to powiększa się nowymi przybyszami. Oto zjawiają się Höltzlowie v. Sternstein, pochodzący po wagmistrzu austrjackim na Podgórzu. Antoni Höltzel nabywszy dom na Rynku nr. 21, staje się wybitnym kupcem. W r. 1831 jest on komendantem gwardji narodowej. Synowie jego to znany bankier Ludwik i słynny prawnik Zygmunt Helcel.

Ale czyż można ich wszystkich wymienić, tych licznych Walterów, Mauriziów, Bochenków, Bajerów, Johnów, Glogerów, Morbicerów, Wolffów, Treutlerów, Hietzgerów, Krumpholców, Sztanclów i tylu innych! Stanowili oni na gruncie krakowskim nieraz nowy, ciekawy element kupiecki, który borykał się w ciężkich warunkach z ówczesnym... kryzysem tak ekonomicznym jak politycznym, w miarę możności dorzucając cegiełki do wzrostu Krakowa.

Jan Maleszewski.

Dokończenie ze str. 25-ej.

w rodzaju talizmanu, strzeżonego troskliwie i dziedziczonego bezspornie — opowiada pani Janina z pewnego rodzaju dumą rodową. Już od dziecka słyszałam na ten temat uwagi i rady od mej babki.

— I to już wszystko? — pytam lekko zawiedziona.

— O nie, — odpowiada p. Janina. Z nadejściem lata, w porze poziomek a następnie ogórków rozpoczynała się pielęgnacja cery z pomocą tych dwuch niewinnych a tak skutecznych środków. Zabieg bardzo łatwy Bierze się poprostu garść dojrzałych poziomek, rozciera dobrze i masą tą smaruje na noc twarz i szyję.

— A z ogórkami to co się znów robi? — dopytuję ciekawie.

— Również proceder łatwy i prosty. Codziennie wieczorem po umyciu naciera się twarz plasterkiem świeżo przekrajanego ogórka.

— I to tak cudownie robi?

— Proszę pani najlepszy dowód, że moja babka w 60-tym roku życia miała cerę młodej kobiety, matka moja wygląda na moją starszą siostrę...

— A pani na swoją młodszą — uzupełniam z przekonaniem ten dziwny splot powikłań familijnych, w którym ogórki i poziomki odegrały tak decydującą rolę.

Zofja Ordyńska.

Dokończenie ze str. 8-ej.

(timbre côté adresse). Jedni zbierają widoki miast, ulic, placów, inni znów podobizny dzieł sztuki itd.

Wymianę kartek prowadzi się w ten sposób, że wyszukuje się w spisie adresy członków z tych miast, z których chce się mieć widoki, poczem po odczytaniu ich życzeń, podawanych specjalnemi szyframi, wysyła się jakiś widok swego miasta. Adresat obowiązany jest odpowiedzieć swoim widokiem.

Jedno z francuskich Towarzystw Zbieraczy (w skrócie zwane R. E. C. P.) z siedzibą w Paryżu wprowadziło inowację w postaci t. zw. Kart Turystycznych — Cartes Touristes. Członek Tow., chcący mieć taką kartę, porozumiewa się z kilkoma członkami, mieszkającymi na trasie, którą ma przewędrować Karta Turystyczna. Po otrzymaniu ich zgody wysyła widok swego miasta do pierwszego zbieracza. Ten nakleja swój znaczek i puszcza kartę dalej według kolejności adresów. I tak kartka wędruje czasem naokoło świata, poczem wraca do właściciela.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że taka wymiana w wielkiej mierze przyczynia się do zawarcia trwałych związków przyjaźni, które jeśli idzie o odmienne płci, zaprowadziły już kilka par do ołtarza. Taka współpraca przyczynić się może też do szerzenia idei pokoju.

Trzeba wkońcu zaznaczyć, że widoki z Polski, a w szczególności z Krakowa, Gdyni, Tatr i Karpat cieszą się ogromnem powodzeniem zagranicą i popyt jest na nie wielki, tak wielki, że niestety zbyt szczupła liczba polskich zbieraczy nie jest w możności mu podołać. A szkoda, gdyż cierpi na tem propaganda kraju.

Zdzisław Wójcik.

To warto poznać...

NA SCENIE.

W Warszawie czołowe sceny T. K. K. T. karmią publiczność wciąż farsami. Z tego powodu rozpętała się — jak to jyż notowaliśmy — wielka wojna między krytykami, a kierownictwem teatrów. Atakują przedewszystkiem słabe pozycje Boy-Żeleński i Słonimski, broni zaś zawzięcie straconych pozycyj J. Kaden-Bandrowski.

Nowy sezon rozpoczął **Teatr Nowy** komedja Marji **Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej p. t. „Powrót mamy“**. — Nowa sztuka znakomitej poetki zajmuje się obroną rodziny. Pawlikowska broni tu ogniska domowego i nierozerwalności małżeństwa. W twórczości teatralnej Pawlikowskiej walczą ze sobą dwa poglądy na życie, t. zw. postępowy i tradycyjny, rodzinny. Komedja Pawlikowskiej posiada bardzo dobry I. akt, wiele niepotrzebnych dłużyzn w następnych aktach, jest również przeładowana dowcipuszkami i powiedzonkami. Mimo to krytyka warszawska stwierdza, że Pawlikowska „napisała żywą i zajmującą komedję, pełną werwy i barwnych epizodów, której słucha się z prawdziwem zainteresowaniem“. Komedję wyreżyserował Ziembiński, grając również dobrze jedną z trudnych ról, bardzo dobrze zagrały swe role Gellówna, Piaskowska i Żabczyńska.

Kabaret literacki Jarossy'ego, **„Cyrulik warszawski“** prezentuje obecnie tłumom publiczności świetną rewję kapitalnie w całości napisaną przez Hemara pod hasłem **„Na jeża“**. W teatrzyku **Hollywood** bawią publiczność wybitni artyści zabawną rewją „Dla ciebie Warszawo“. Szczególnie podoba się publiczności Ordonówna, Sym, Bodo i jeszcze jedna Halama tym razem trzecia, której na imię Alicja.

Nowy sezon teatralny **w Bydgoszczy** został otwarty tragedją Corneille'a **„Cyd“**, w przepięknej transkrypcji Wyspiańskiego. Tragedję dobrze wyreżyserował dyr. Stoma ,a główne role grają Sawicka, Paszkowska, Serwiński i Stoma.

Teatr Miejski **w Łodzi** wystawił sztukę współczesną Bus-Fekelego **„To więcej niż miłość“**. Melodramat ten wyreżyserowany przez J. Bujańskiego grano starannie, a zwłaszcza dobrze spisały się panie Skrzydłowska, Dywińska, Chojnacka i Dunajewska.

Teatr Wielki we **Lwowie** otwarł sezon potężnym dramatem Wyspiańskiego **„Wyzwolenie“**. — a Teatr Miejski w **Sosnowcu** piękną wizją Krasińskiego, dramatem **„Nieboska komedja“**. **(swb)**

WYSTAWY.

Warszawski Instytut Propagandy Sztuki rozpoczął nowy rok swej działalności wystawą niezwykle pięknych i oryginalnych dzieł **Zdzisława Czermańskiego i Stanisława Ostoi-Chrostowskiego.** Dzieła obu artystów poświęcone są temu samemu „tematowi“. Obaj obrazują życie i czyny Marszałka Józefa Piłsudskiego. Zdzisław Czermański dał dwie serje rysunków: „Józef Piłsudski na Syberji“ i „Józef Piłsudski 1914—1935“. Tadeusz Pruszkowski, wybitny krytyk plastyczny stwierdza, że Marszałek w rysunkach Czermańskiego, jest „znacznie bardziej ludzki, prosty, niż na wszystkich oficjalnych portretach. Niektóre rysunki rozweselone ujęciem lub anegdotą zawierają tyle prawdy i życia, że wydają mi się jedynemi wyobrażeniami Marszałka, które obok Krzyżanowskiego (wspaniały portret Piłsudskiego — przyp. nasz), wykonane za życia, przekażą przyszłości plastyczną prawdę o Marszałku, znacznie prawdziwszą od fotografji“. Rysunki Czermańskiego przepojone są romantyzmem, umiarkowanym sentymentem, posiadają wysoce artystyczny umiar i prostotę środków.

Ostoja-Chrostowski jest jednym z najznakomitszych drzeworytników, tworzącym czarujące drobiazgi graficzne. Drzeworyty, które znajdują się na wystawie, są podobnie jak serja rysunków Czermańskiego, ilustracjami do książki kpt. Lepeckiego „Piłsudski na Syberji“. Są one ściśle zespolone z książką, z jej formatem i układem, a są prześliczne, niezwykle kunsztowne i mocne w swym wyrazie.

W Krakowie w Pałacu Sztuk Pięknych otwarto zbiorową pośmiertną wystawę dzieł **Leopolda Gottlieba** (1879—1934), znakomitego artysty. Z wystawionych dzieł poznać możemy jego wielki talent portretowy, jaki uwypuklają jego śmiałe i znakomite szkice portretowe z czasów legjonowych, oraz dwa jeszcze oryginalne okresy jego twórczości. Pierwszy to symboliczne kompozycje, pełne niepokojącej tajemniczości, uczucia nastrojowo-nostalgicznego. — Okres drugi, a raczej trzeci, to okres ostatnich lat życia, gdzie tematem jego twórczości jest praca ludzka, wyrażona w pięknej rytmice kompozycyj o przygaszonych kolorach, pełnych subtelnej uczuciowości i subtelnego ujęcia, oraz kobiecość, którą wizje malują tajemnice macierzyństwa, wdzięk prac domowych i upiększania życia. **(b)**

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela 29 IX. 1935.

10.00: Transmisja nabożeństwa.
12.15: Poranek muzyczny. — W przerwie o godz. 13.00 fragm. słuchowiskowy „Trójka hultajska“.
14.00: Opowiadanie p. t. „Wyłupiasty wózek“.
16.00: „Łamigłówki dla dzieci“.
16.15: Recital skrzypcowy S. Jarzebskiego.
17.00: Muzyka taneczna.
17.40: „Migawki regjonalne“.
18.00: Recital śpiewaczy Stani Zawadzkiej.
20.00: Koncert symfoniczny.
21.00: „Na Wesołej Lwowskiej Fali“.
21.30: Feljeton z cyklu „Podróżujmy“.
22.00: Muzyka taneczna.
23.05: Muzyka lekka z płyt.

Poniedziałek 30 IX 1935.

12.03: Dziennik południowy.
12.15: Muzyka lekka.
15.30: Koncert tria salonowego.
16.15: Koncert solistów.
16.45: „Ożenił się“ — skecz.
17.50: Pogadanka Brunona Winawera.
18.00: Recital organowy prof. F. Nowowiejskiego.
20.00: J. Godlewska i A. Bogucki (duety i piosenki).
20.20: „Pardon! Czy pan Bouboule“ (audycja lekka).
21.00: Recital wiolenczelowy p. Lifana.
21.30: „Satyra lwowska — Jan Lam“.
22.00: Koncert symfoniczny z udziałem L. Bologne (harfa).
23.05: Muzyka taneczna.

Wtorek 1 X 1935.

12.03: Dziennik południowy.
15.30: Muzyka lekka.
16.15: Koncert kameralny.
17.00: „Światła wielkiego miasta“ (pogadanka).
18.00: Recital Janiny Familier-Hepnerowej.
20.00: Biuro Studjów rozmawia ze słuchaczami P. R.
20.10: Muzyka salonowa.
21.10: Obrazki z Polski współczesnej.
21.15: Koncert Stowarzyszenia Dawnej Muzyki.
22.30: „Coś nie coś o tak zwanych angielskich dziwactwach“ — (feljeton).
22.45: Muzyka lekka.

Środa 2 X. 1935.

12.03: Dziennik południowy.
12.15: „Modne roboty na drutach“ (pogadanka).
12.30: Orkiestra kameralna Sylwestra Cosnowskiego.
15.30: Muzyka lekka.
17.00: „Dyskutujmy“.
17.20: Koncert zespołu Haliny Adamskiej-Grossmanowej.
17.50: „Świat się śmieje“.
18.00: Pieśni hiszpańskie.
20.00: Muzyka lekka.
21.00: V-ta audycja z cyklu „Twórczość Fryderyka Chopina“.
22.00: Muzyka taneczna.

Czwartek 3 X. 1935.

12.03: Dziennik południowy.
13.00: Muzyka salonowa.
15.30: „Jesienne nastroje“ (koncert).
16.00: „Cyganiątka“ — opowiadanie Starego Doktora.
16.15: Grieg, Saint-Saens, Sarasate grają własne utwory (płyty).
17.15: „Polak-Węgier... dwa bratanki“ (aud. muzyczno-słowna).
18.00: Recital Flory Czarnockiej.
18.30: Film, plastyka, architektura.
20.00: Koncert muzyki lekkiej.
21.00: Premjera słuchowiska — „Noce Teresy“.
22.00: III-ci koncert z cyklu „Kwartety Haydna“.
22.25: Muzyka taneczna.

Piątek 4 X. 1935.

12.03: Dziennik południowy.
12.40: Zespół Wiesława Wilkosza.
15.30: Muzyka lekka.
16.00: Pogadanka dla chorych.
16.15: Koncert orkiestry Seredyńskiego.
17.20: Kwintet fortepianowy F-moll — Gabrjela Faure.
18.00: Koncert.
19.50 Aktualny monolog.
20.00: Audycja lekka.
21.05: Koncert symfoniczny z udziałem Bolesława Woytowicza.
22.20: Muzyka taneczna.

Sobota 5 X. 1935.

12.03: Dziennik południowy.
14.30: Koncert z płyt.
15.25: Trio salonowe Rymowicza.
17.00: Nabożeństwo z Ostrej Bramy w Wilnie.
17.50: Miasteczko Swir — pogadanka.
18.00: Komedja radjowa dla dzieci „Gwiazdy i dwójki“.
18.45: Muzyka baletowa.
19.50: Pogadanka aktualna.
20.00: Muzyka lekka z udziałem Anatola Wrońskiego.
20.45: Dziennik wieczorny.
21.00: Audycja dla Polaków z zagranicy.
21.30: „Wesoła Syrena“ — audycja pióra Marjana Hemara.
22.00: Koncert z udziałem skrzypka Wł. Wochniaka.
23.05: Muzyka taneczna.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A.